



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 80.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 76 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Dwa temata w tych czasach nasuwają się koniecznie tym, co pisują kroniki, i tym, którzy je czytają, a mianowicie: wczesna wiosna i cesarz Wilhelm; są to dotychczas dwie niespodzianki, zwracające najwięcej uwagi meteorologów i polityków.

Dymissya ks. Bismarka i reformy w Berlinie zrobiły większą wprawdzie sensacyą, niż gdyby w marcu zakwitły drzewa pomarańczowe pod naszym szarem niebem; ze względu wszelako, że polityka z meteorologią miewa tę wspólną fatalność, iż bardzo często myli się w swoich przepowiedniach, przeto ani o pogodzie, ani o berlińskich przewrotach nie będę mówił, przez prostą przeczność.

Wolę spokojnie wyczekać dalszego rozwoju faktów, o których dość czasu będzie pomówić — na jesieni.

Jest jednak kwestya, nastroczająca się pośrednio do dyskusyi, która ma w sobie coś politycznego, a w bardzo bliskim związku stoi z wczesną wiosną, — kwestya letnich mieszkań, o których już zaczynamy, my ojcowie rodzin w poufnych rozmowach familijnych radzić przy herbacie wieczorem i myśleć przy herbacie rano, przeglądając inseraty Kurjerów.

W czem leży praktyczna strona tej kwestyi, spytacie; oto w tem, aby wynaleźć dla siebie teren jaknajlepszy, zaanektować go jaknajwcześniej, wejść w jego posiadanie jaknajtańszym kosztem i ubiedz innych; słowo w słowo to samo, co w polityce kolonialnej mocarstw zachodniej Europy.

Kto nigdy nie potrzebował przenosić się na willegiaturę, ten — szczęśliwy! — nie zna całej trudności tego zadania i nie wie, ile zachodu podobna wyprawa wymaga, zwłaszcza dla nas mieszczuchów z warszawskiego bruku.

Od czasu, jak weszło w modę, — bardzo zresztą chwalebna i pożądana pod względem higienicznym — spędzać lato na łonie natury pod Warszawą, kwestya letnich mieszkań stała się kwestyą nader ważną i wysuszającą głowy wszystkim dobrym papom, troskliwym mamom, kochanym mężulkom.

Trzeba ostatecznie gdzieś wyjechać na czas kanikuły, a przynajmniej wysłać żonę z pociechami, aby odetchnęły świeżym powietrzem i nabrały cery na słońcu; otóż to: *gdzie i jak* stanowi dwa najważniejsze pytania.

Stanowczo, willegiatura nasza względnie do tego, co na niej znaleźć można, jest za drogą; brak dostatecznej ilości mieszkań stosownie urządzonych ułatwia konkurencyą. Panowie właściciele podmiejskich domków i szalasów, nazwanych pompatycznie willami, podnoszą co roku ceny i każą sobie drogę opłacać cień lasów, który ich nie nie kosztuje, aromat drzew szpilkowych, który mają zadarmo, blask słońca, które za to grosza nie bierze i świeże powietrze, które jest na całym świecie własnością publiczną.

Za resztę, począwszy bardzo często od wody, aż do śmietany, kurcząt, nowalijek i innych większych przysmaków trzeba płacić słone ceny, bo przecież na to Pan Bóg stworzył willegiaturę, by wieśniak z mieszczan obdzierał skórę...

Najpraktyczniejszą rzeczą okazałyby się zapewne spółki udziałowe kilku rodzin, któreby własnym kosztem stawiały dla siebie w odpowiednich miejscowościach mieszkalne domy, a choćby baraki w rodzaju proponowanych przez d-ra Polaka domów przenośnych.

W zeszłym roku zawiązała się taka spółka, złożyła potrzebny kapitał i przystąpiła do wznosze-

nia willi, którą na lato zajmą sami współwłaściciele; wydatek na razie trochę większy, ale kto się na niego zdobyć może, zarabia na tem, bo mu się opłaca następnie willegiatura, którą po amortyzacji kosztów budowy domu, ma prawie darmo.

Gazeta Polska zwróciła w jednym z ostatnich numerów trafną uwagę na zaniechanie podmiejskich okolic Warszawy, a mianowicie Mokotowa i Wierzbna, które wybornie nadają się na letnie osady dla mieszkańców; ściągają ich też tam z każdym rokiem coraz więcej, to prawda, ale przepłacać muszą zajmowane kletki i znosić drożyznę, zwiększającą się rokrocznie.

Zagranicą, gdziekolwiek w pobliżu ludnego miasta, znajduje się taki park duży, do tego źródła lecznicze, jak w Wierzbnie, malownicze położenie, łatwość komunikacji, praktyczna przedsiębiorczość wyzyskuje to natychmiast *pro bono publico i pro domo sua*.

U nas ośpałość, niedbalstwo, brak inicjatywy, nieumiejętność ryzyka, — ach! i to pocziwie, tradycyjne nasze lenistwo — nie pozwalają skorzystać nawet z tego, co byłoby najłatwiejszem do wyzyskania.

Wyobrażam sobie, jaki szereg wspaniałych willi, pensjonatów, hotelów, restauracji, zakładów kuracyjnych, powstałby dookoła Warszawy, gdybyśmy mieli choć trochę przedsiębiorczości Berlińczyków lub Wiedeńczyków; skargi na brak kapitałów nie są słuszne. Zamożnych ludzi, pomimo tych oskarżanych nieustannie ciężkich czasów, nie brak u nas; byłoby czem zaryzykować, tylo niema komu, niema pomysłowości i rzutkiej energii do robienia interesów w nowych kierunkach.

Utyskujemy na zastój: a co robimy, aby rozruszać nasz przemysł, nasz handel, nasze rzemiosło?.. tyle, co nic, albo bardzo mało; umiemy gadać dużo, radzić, projektować przy zielonym stoliku, tworzyć komisyje, stawiać wnios-

ski, spisywać protokoły i powiększać niemi—makulaturę.

Rzadko tu i ówdzie jakaś samodzielniejsza myśl zakiełkuje i padnie na grunt praktyczny; ale ileż to niedowiarstwa, ile zniechęcenia, ile oporu musi pokonać, zanim sobie poparcie i zwolenników znajdzie.

Drobny przykład, ale wymowny, ilustruje nasze stosunki i naszą zaradność przemysłową: W tych dniach jeden z przemysłowców warszawskich p. T.—pisze *Kurier Codzienny*, — sprowadził z fabryk szlacheckich znaczny transport siermiąg i innych części ubrania włościańskiego. Wyroby owe zastosowane ściśle swym krojem i kolorem do „mód“ obowiązujących w danych okolicach, mają być następnie przez specjalnych komiwojażerów zbywane na jarmarkach.

Siermięgi zakordonowe, to gorzka, zaiste, wymówka dla naszego przemysłu...

Nam to wystarcza, że w tych sprowadzanych siermięgach ze Szlaska, będzie nam np. na koncertowej estradzie grała włościańska orkiestra pod dyrykcją p. Namysłowskiego w Dolinie Szwajcarskiej.

Bo my już tacy, i co z nami zrobić!..

Co do wspomnianej kapeli, w której trzydziestu parobków rznie od ucha i dmucha we wszystkie możliwe instrumenta, trzeba przyznać, że zawstydzila ona naszych miejscowych kapelmistrzów. Pan Namysłowski dokazał sztuki, która nie udawała się dotychczas warszawskim dyryktorom; stworzył sobie własną orkiestrę z chłopków, których sam wyuczył muzyki, wykształcił, sprzął w korporacyjną całość i uczynił ją godną słuchania nawet przez warszawskich melomanów.

Repertoar, co prawda, nie ma poważnego charakteru, zapełniają go przeważnie lepsze utwory, a zwłaszcza tańce, jednak te mazury i obertasy stanowią właśnie specjalność włościańskiej orkiestry i zdobywają jej sympatyczną popularność u słuchaczy, zapełniających dość licznie Dolinę Szwajcarską.

Węgierskim kadetom i cyganom, imponującym publiczności Wodewilu i Belle-vue dźwiękami cymbałów i płomienistymi spojrzeniami czarnych oczu, przybyła swojska konkurencja.

Niebawem uradować ma ciekawą Warszawę swoim widokiem nowa truppa „dzikich“ bliźnich z głębi Afryki, złożona ze stu osób i stu dwudziestu koni pod wodzą dr. Carveza, zwanego „królem strzelców“.

Cała karawana rozłożyć się ma obozem na placu wyścigowym i tam dawać przedstawienia w godzinach popołudniowych.

Reporterska reklama zapowiada niebawem sensacje; dr Carvez ma dawać sto celnych strzałów... na minutę! Co to wszystko znaczy wobec naszej reporteryi, strzelającej baki—bez konkurencji.

W Ogrodzie Zoologicznym, szukającym środków szczególnej atrakcji, ma być urządzoną wystawą psów i przyborów myśliwskich.

Na Maj zapowiadają nam letni cyrk dla zatarcia świeżych jeszcze wrażeń cyrku zimowego.

W Operze zaś słynna z przygód między Indyjankami panna Nikita, wystąpić ma kilkakrotnie, jako primadonna, rozpoczynając zawód sceniczny po zawodzie estradowej śpiewaczki na deskach warszawskich.

Przedtem wszelako usłyszeć mamy w koncertowej sali nadobną lwowiankę pn. Abendrotównę, którą wiedeńska „napółtwańskim krytyka“ w ostatnich czasach słowikiem „przezwala“.

A zatem letni karnawał zapowiada się zajmując pod względem urozmaiconych wrażeń, bez których Warszawa nigdy obejść się nie może.

W dziedzinie sztuki komitet naszego „Salonu“ przygotowuje jedną z najbardziej zajmujących wystaw; oto zamierza zebrać całą kolekcję obrazów Józefa Chełmońskiego i w tym celu wydał odezwę do szczęśliwych posiadaczy utworów naszego znakomitego artysty, aby na przeciąg kilku tygodni odstąpili ze swoich zbiorów jego prace dla ucieśnienia niemi oczu publiczności warszawskiej.

Chełmoński jest jednym z najbardziej oryginalnych i samodzielnych talentów w dziedzinie na-

szego malarstwa; jest w nim jakaś dzielna, mężka energia twórcza i temperament, który ożywia każdy, najmniejszy nawet jego obraz. Niepospolita indywidualność cechuje dzieła artysty. Dla miłośników sztuki zajmującym będzie zbiorowy widok jego utworów, w których okaże się stopniowy rozwój niepospolitego talentu, imponującego przedewszystkiem siłą i expressją.

Od kilku dni na wystawie Towarzystwa zachęty zwraca uwagę marmurowy posąg ś. p. Królikowskiego, wykonany przez p. Syrewicza; pierwotnie miał on stanąć na grobie znakomitego tragika, obecnie podobno projekt ten o tyle zmieniony został, że na mogile stanie jedynie piedestał z krzyżem i stosownym napisem, sama figura zaś przyozdobi foyer Wielkiego Teatru po dokonanej restauracji.

Pan Syrewicz z pewnym uroczystym ceremoniałem, niepraktykowanym u nas dotychczas, pokazał swe dzieło na wystawie; sprosił członków dyrekcyi, artystów sceny warszawskiej, przedstawicieli prasy — i w ich obecności odsłonił posąg, jakgdyby odbywał próbę efektu, który raz jeszcze we właściwym czasie, ale w odmiennych warunkach się powtórzy, gdy marmurowy wizerunek artysty przeniesiony zostanie na miejsce swego przeznaczenia.

Pod względem wykończenia praca p. Syrewicza ma jedną przedewszystkiem zaletę: odznacza się uderzającym podobieństwem. Królikowski stał w płaszczu narzuconym na ramiona z ręką w lewej ręce, prawą czyniąc gest, jakby explikacyi, głowę ma nieco pochyloną, wyraz twarzy spokojny, ale o bystrym, właściwym zmarłemu artyście, spojrzeniu.

Pan Syrewicz miał zadanie trudne, zwłaszcza według pierwotnego planu, kiedy posąg projektował do pomnika na cmentarzu, nie do foyer teatru. Różnica tych dwóch miejsc decydowałaby może o odmiennym pojęciu i charakterze figury, pozy, nawet kostiumu. Ten Królikowski na pierwszy rzut oka robi wrażenie profesora z pewną powagą akademicką wykładającego jakiś temat swoim słuchaczom; to jest Królikowski w prywatnym charakterze, poza sceną, Królikowski człowiek, ojciec rodziny, ale nie ten Królikowski, którego przywykliśmy widywać na scenie lub na estradzie, poruszający tłumy spojrzeniem, głosem, wyrazem twarzy prawdziwego tragika, niezrównanego mistrza dykcji, pełnego demonicznej niekiedy werwy i temperamentu.

Rozumiem dobrze, że rzeźba ma swoje warunki, swoje ograniczenia, musi się liczyć z linią, z materiałem, z klasyczną tradycją spokoju i powagi: to wszystko prawda i pod tym względem trudno p. Syrewiczowi robić zarzuty, zwłaszcza — jak nadmienilem — gdy się zważy pierwotne przeznaczenie tego dzieła. Jednakowoż, gdy będziemy w tej marmurowej postaci szukali odbicia indywidualności oryginału, jakieś znamiennej cechy, po którejby poznać można było, kogo właściwie wyobraża ów posąg, jakiego rodzaju talent wcielał się w tym wielkim artyście; gdybyśmy wymagali po nim odświeżenia z jednego rzutu oka wrażeń, które nam sam widok jego sprawiał w chwilach akcyi, — jednym słowem: gdybyśmy w tym Królikowskim szukali Królikowskiego tragika, musielibyśmy doznać pewnego zawodu.

Spowiadam się tu z mojego osobistego wrażenia i poglądu, nie mając pretensyi do pisania krytyki; nie wiem, co powiedzą fachowi znawcy, czy i oile ich zadowoli dzieło p. Syrewicza z punktu artystycznego wykonania, z którego — zdaje mi się — tylko na wyraz uznania zasługuje.

Słyszałem, że w przyszłym foyer Teatru Wielkiego stanąć ma również posąg Żółkowskiego; największy komik sceny warszawskiej i największy jej tragik w ten sposób zostaliby uczczeni i przekazani wdzięcznej pamięci potomności na gruncie tyloletniej sławy swojej i pracy artystycznej.

Należałoby pamiętać o innych znakomitościach starszej daty, zasłużonych dla instytucyi, mającej przeszło sto lat istnienia. W bibliotece teatralnej znajdują się portrety i biusty rozmaitych artystów i artystek teatru warszawskiego, dla których właściwsze miejsce znajdzie się zapewne

na wzór zagranicy w odrestaurowanem foyer Teatru Wielkiego.

Przedewszystkiem na miejscu honorowem stanąć powinien wiekopomnej pamięci twórca sceny polskiej, duchowy rodzic całego pokolenia artystów — Wojciech Bogusławski..

Kiedy mowa o sztuce, nie mogę pominąć faktu, z któregoby wnioskować można, że u nas zajmowanie się malarstwem jest, co najmniej, tak gorącym, jak skłonność do sportu. Ktoby przypuszczał, że obraz może natchnąć ludzi do większego hazardu, niż np. koń wyścigowy na Mokotowskim Polu!.. Jak wiadomo, na wystawie w naszym Salonie znajduje się obecnie dużych rozmiarów płótno angielskiego malarza Davanta, wyobrażające „Rozbitków“ na rozrzuconych falach morza; łódź ratunkowa podpływa pod ogromny statek, z którego... otóż tu właśnie sęk!.. z którego niewiadomo, czy spuszczają passażerów, czy ich wyciągają na pokład.

Sytuacja nie tłumaczy się dość jasno, pomimo wcale efektownego wyzyskania tematu.

Jakichś dwóch jegomościów założyło się o małą sumkę 500 rs. w tej wielce ważnej a spornej kwestyi: kto kogo ratuje na obrazie Davanta?

Sto rubli wspaniałomyślnie przeznaczono z wygranej na cele dobroczynne. Spór rozstrzygnąć ma sam artysta, do którego wysłano list z zapytaniem?

Przyznam się, że na taki cel nie ryzykowałbym pięciu kopiejek, tem bardziej, iż sprawa nie warta ryzyka. Wszystko jedno, kto kogo ratuje; tak czy owak, sytuacja pod względem artystycznej kompozycyi niczego nie zmienia. Jest chwila groźna, niebezpieczeństwo widoczne, tragiczność położenia sprawia zamierzony przez malarza efekt, o co się tu spierać, a co więcej — po co ryzykować 500 rs., które przydać-by się mogły na coś o wiele pożyteczniejszego?

Zresztą, skoro obraz zatytułowano „Rozbitki“, toć chyba najlogiczniejsze będzie przypuszczenie, że są nimi osoby pomieszczone na ratunkowej łodzi, a zatem, że okręt ratuje załogę szalupy; nie byłoby na niej również kapitana, któremu honor marynarza nie pozwoliłby opuścić wcześniej pokładu tonącego już nawet okrętu, dopókiby choć jeden pasażer, lub jeden majtek pozostawał na nim, narażając się na niebezpieczeństwo. Tymczasem na statku widać jeszcze sporo ludzi, przeginających się przez poręcz i przypatrujących dramatycznej scenie.

Gdybym miał 500 rs. do stracenia, wybrałbym sobie inny sposób ulżenia mojej kieszeni; poszedłbym do pana Juszczyka i powiedział mu:

— Załóż się pan ze mną, że o godzinie 12-iej w nocy słońce świeci; stawiam 500 rs. gotówką na rzecz kolonii letniej dla sierot, którą pan zamierzasz nabyć dla Towarzystwa Dobroczynności.

Pan Juszczyk uśmiechnąłby się z politowaniem, popatrzał na mnie, jak na waryata i odesłał mnie do czubków; ale gdybym mu rzekł:

— Ja stawiam pięćset rubli, a pan guzik do kamizelki, — po krótkim namyśle przystałby zapewne w interesie swoich sierotek i swojego projektu na moję propozycję.

Złożylibyśmy w depozycie pieniądze i guzik, poszli z sobą na skromną kolacyjkę, podczas której pan Juszczyk opowiedziałby mi dużo zajmujących rzeczy o niedoszłym do skutku Bazarze, o staraniach ks. Radziwiłła około zebrania funduszu na rozszerzenie przytułku dla osieroconych chłopców przy ulicy Freta, o sposobach, którymi wy dostał 4.900 rs. na zakupno kolonijki dla sierot i t. p.

Na tej rozmowie zeszedłby nam czas do północy, z uderzeniem zaś godziny 12-iej wyszlibyśmy na ulicę i pan Juszczyk pokazałby mi gwiazdy na niebie a na ziemi zapalone latarnie, których wcale w Warszawie ze słońcem porównywać nie można.

— No, cóż pan na to?.. — spytałby zapewne z tryumfującym uśmiechem.

Wzruszyłbym z kolei ja ramionami i odpowiedział:

— Ha, przegrałem, zabieraj pan 500 rs., — ale nie przestawałbym się uśmiechać bardzo ironicznie; wzięwszy zaś pana J. pod ramię, zaprowadziłbym go do biura telegraficznego i w jego

obecności wysłałbym do Nowego-Yorku depeszę następującej treści:

„Która tu u was godzina? — jaką macie pogodę? — Odpowiedź zapłacona.“

W jakiś czas otrzymalibyśmy prawdopodobnie telegram w tych słowach:

„W pół do siódmej, — słońce pogodnie zachodzi. — *All right*“.

W ten sposób przekonałbym pana Juszczyka, że ja nie jestem takim waryatem, jak mu się wydaje i że o północy słońce także świeci, tylko... na drugiej półkuli; śmielibyśmy się potem obaj z takiego figla, a kolonie letnie dla sierotek zyskałyby zasiłku pół tysiąca, co by ich opiekunowi ułatwiło szybsze urzeczywistnienie projektu.

Są ludzie, którym widocznie nie brak pieniędzy na zakłady, ale którym brak humoru do takich conceptów.

Radzę im w takim razie, aby zapisali się do... cyklistów; z rozprawy D-ra Neugebauera, wydrukowanej w sprawozdaniu z trzechletniej działalności naszych „energicznych i sprężystych“ doszedłem do przekonania, iż uprawianie kołowego sportu nie tylko wybornie oddziałuje na fizyczną, ale i na duchową stronę człowieka, wyrabia w nim świeżość umysłu, rozwija altruistyczne uczucia, usposabia do optymizmu, leczy z hypochondryi i wprawia w dobry humor skwaszonych śledzienników.

Klubowi cyklistów powinszować można rezultatów działalności i szybkiego rozrostu; przed trzema laty, kiedy z inicjatywy Edwarda hr. Chrapowieckiego zawiązywało się to товариство, liczono tylko 28 uczestników, dzisiaj około półtorasta znajduje się na liście członków.

Co mnie szczególnie uderzyło w tym pierwszym sprawozdaniu wydanem od czasu istnienia klubu, to objawy niepospolitej energii w traktowaniu spraw tego stowarzyszenia i ten jakiś sympatyczny animusz, ożywiający zarówno komitet, jak i członków.

Wszystko tam toczy się, jak na skorupie; towarzystwo założone bez długich namysłów, w paru tygodniach, zwerbowało członków, postarano się o fundusze, zbudowano sobie własny dom, urządzono manège dla żelaznych rumaków, sztuczna ślizgawkę w zimie, wyścigi, 637 wycieczek, czyniących w sumie 20.841 wiorst drogi, z których najbliższe i najczęstsze były do Promenady za belwederską rogatką, a najdalej do Petersburga; tę ostatnią na rowerze odbył p. Wyszomirski zeszłego roku we Wrześniu, przebiegając 100 wiorst na dobę przez całe dwa tygodnie. Dr Neugebauer w ten sposób jeździł do Wrocławia, p. Pfenninger aż do Szwejcarzy, p. Hartmansgruber do Wiednia a pp. Skwierczyński i Nipaniec do Krakowa na wystawę przemysłową.

Ci panowie powinni nosić tytuł „extra-sprężystych“.

Wicie też państwo, kto do Warszawy sprowadził przed dwudziestu kilku laty po wystawie paryskiej pierwszy welocyped?.. p. Romanowski, znany fabrykant powozów. Wówczas patrzano się na pierwszego cyklistę, jak na raroga, tłum ciekawych biegł za nim i tamował mu drogę, aby się takiemu Antychrystowi przypatrzeć. Dzisiaj rzecz to zwyczajna, a za lat dziesięć będziemy może wszyscy galopowali na bcyklach, zamiast trząść się w nieznośnych warszawskich dorożkach.

Wniosując z tak szybkiego wzrostu członków i zamiłowania do tego sportu w ciągu lat trzech, powinienby klub cyklistów wzrosnąć do cyfry najliczniejszego stowarzyszenia w Warszawie.

Anglia liczy pół miliona welocypedystów, u nas jest ich dopiero 600, pomiędzy tymi dwanaście dam. Prowincya za przykładem Warszawy tworzy sobie oddzielne kluby, które kiedyś połączą się zapewne w jedno wielkie stowarzyszenie na wzór zagranicy.

Ma już swoich „sprężystych“ Łódź, Zgierz, Kalisz, Lublin, Radom i inne miasta, nie wszędzie wszelako potworzyły się kluby, ale z czasem dojdzie do tego.

A zatem: *All hail!*..

Quis.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

— Słyszał ojciec, że za parę tygodni wyjeżdżamy z Wandzią i z Lizą? — zaczął z innego tonu.

— A coś mi tam matka wspominała. Co prawda, nie bardzo ważny powód!.. Można by te wszystkie fatalaszki tu na miejscu posprawić. Nie tak posażne panny robiły wyprawę w kraju. Karol uśmiechnął się znowu ironicznie.

— Były takie, co sobie nawet same ją uszyły — wtrącił — ale Bogu dzięki, Liza tego nie potrzebuje, a skoro może i taniej, i lepiej zaopatrzyć się we wszystko zagranicą, dlaczegoż nie ma z tego korzystać?

Fatt *sen.* ręką machnął.

— Twoja matka — zaczął, ale nie dokończył, bo mu syn przerwał zniecierpliwiony:

— Jest!.. ojciec znowu przytacza przykłady z czasów przedpotopowych. Moja matka miała tuzin koszul, kiedy szła za męża, ale ojciec nie był baronem, a mama nie była pierwszą partią w świecie przemysłowym. Co to warto psuć sobie język na darmo! Jednym słowem: dziewczynę trzeba wyekwipować i w tym celu będę potrzebował pieniędzy.

— No, to masz przecie w kassie — odparł ojciec — weź, ile chcesz.

— O jakiej kassie ojciec mówi?

— Jakto, o jakiej... o naszej wspólnej. Weź na rachunek z fabryki.

Karol usta zaciął.

— Jedno z drugim niema nic wspólnego, — odezwał się po chwili — fabryka ma swoje wydatki i potrzebuje ciągłej gotówki. Ja nie mogę znaczniejszych sum odbierać jej w tym czasie.

— Więc cóż?..

— Więc trzeba zaczerpnąć z kądinąd.

— A z kądże?..

— Przecież Liza ma jeszcze dziesięć tysięcy na procencie składanym w banku.

Stary Fatt w głowę się poskrobał.

— No, ma — ale myślałem, że te pozostaną nietykalne. Wiesz, że złożyłem je przy jej urodzeniu w depozyt. Chciałem, żeby to było podarunkiem chrzestnym dla jej pierwszego dziecka. Po co to ruszać?..

Karol zaczął chodzić po pokoju; skrupuły ojca nie trafiały mu do przekonania.

— Ach, takie ceregiele! — obruszył się niemal z gniewem. — Jeszcze za męża nie wyszła, a ojciec już o dzieciach myśli. Do tego daleko; kiedy będzie potrzeba, to się znajdą pieniądze i na to, ale teraz wyprawa pilniejsza.

Ojciec głowę skłonił i myślał, nie odpowiadając na argumenta syna.

— Ja-bym wolał depozytu nie tykać — rzekł półgłosem — dziesięć tysięcy, to znów nie takie wielkie rzeczy.

— Pewnie, ale nie teraz, kiedy mi każdy grosz potrzebny. Nie mogę przewidzieć, ile mi wypadnie mieć gotówki pod ręką.

Zależało mu widocznie na wydostaniu tej sumy; prawdę mówiąc: likwidacja Jańskiego mogła go szarpnąć w każdej chwili; chciał zresztą zatrzeć jak najspieszniej ślady swojej nieprzeznosci i popłacić długi, które ciążyły na nim, jako na poręczycielu bankruta. Nie wchodził w to, że ostatnią gotówkę ściąga z rodzinnego majątku, byle się pozbyć wierzycieli, których mu nieopatrny przyjaciel pozostawił. Przyszłość miała to wszystko wynagrodzić.

Długo trwało milczenie po urwanej rozmowie. Młody Fatt gryzł dolną wargę, stary skubał

brodę i myślał. Wreszcie syn stanął przed ojcem i wyzywająco niemal zapytał:

— No i cóż?..

— Ha, no, jak sądzisz, — brzmiała odpowiedź — jeśli koniecznie potrzeba, to bierz. Ty wiesz lepiej, co robić. Zdałem ci wszystko, jesteś naszym bankierem. Odpowiadasz za cały majątek Fattów, masz kredyt nieograniczony.

Karol rękę wyciągnął do starego.

— Dziękuję ojcu.

Uśmiechnął się przytem z zadowoleniem, jakby po zrobieniu dobrego interesu; kapitał siostry poratował go znowu w tej krytycznej chwili; nie potrzebował przyznawać się ojcu do kłopotów, jakie mu sprawiło bankructwo Jańskiego.

Pozory były uratowane.

Z weselszym usposobieniem poszedł do pokoju matki i Lizy, która od wczorajszego wieczoru nosiła jakiś ponury smutek na czole. To samobójstwo w dzień jej zaręczyn, ta wieść o fatalnym wypadku, która tak zmąciła wesoły i uroczysty nastrój całego zebrania wydały się jej fatalnym prognostykiem. Nie mówiła o tem nikomu, ale pozbyć się nie mogła przykrej myśli, która wracała jej nieustannie do pochylonej główki:

— I to właśnie w takim dniu, w dniu moich zaręczyn!..

VI.

Pierwsze dreszcze.

Cukrownia w Burakówku zajmowała znaczną przestrzeń, stała przy głównym trakcie i zdaleka widać było jej wysokie białe mury, pokrajane w trzech kondygnacjach szachownicą okien, purpurowo błyszczących w blasku zachodzącego słońca; ponad dachami budynków, stawianych z pewnym zbytkiem w strukturze i urządzeniu, strzelał w górę komin, jak bandera z powiewającą wstęgą czarnego dymu w czasie prowadzonej kampanii.

Brukowaną bocznicą wjeżdżało się z traktu na dziedziniec cukrowni przez murowaną bramę z żelazną kratą; obok głównego korpusu grupowały się mniejsze i większe zabudowania fabryczne, magazyny, domki mieszkalne dyrektora i główniejszych officialistów, pomieszczenie dla biura administracji i służby miejscowej.

Na szerokiej płaszczyźnie pól i łąk, fabryczna osada Burakówek stała odosobniona i na kilka wiorst zdala rzuciła się już w oko białością swoich murów i ściśniętym konglomeratem budynków, robiących wrażenie kredowych kostek na zielonym stoliku.

Jeden z niższych domków, wysuniętych nieco na ubocze, zajmowała teraz rodzina Pęczyńskich, odkiedy starego inkassenta przeniesiono tutaj na posadę kassjera.

Zmiana miejsca i otoczenia nie okazała się tak przykrą, jak sobie z początku wyobrażali; po kilku tygodniach pobytu przywykli do swojej nowej siedziby i zaczęli nawet doświadczać dodatnich skutków tej nagłej i przymusowej niejako translokacji.

Świeże, wiejskie powietrze, szczególnie dobrze podziałało na dzieci; podobało się im to życie na swobodzie, w odmiennych warunkach, wśród nowych wrażeń i widoków o wiele lepiej, niż w mieście.

Natrafiły przytem na wiosnę szczególnie piękną i pogodną, znalazły sobie towarzystwo z rówieśnikami pomiędzy dziećmi officialistów fabrycznych i zdawało im się, że spędzają nadzwyczaj miłe wakacje.

Dla Frani to odosobnienie od świata było nawet bardzo pożądanem; potrzebowała ośwoić się z myślą zerwania ukrytej nitki swoich dziewczęcych marzeń, które snuła bezwiednie, nie przypuszczając nawet, że popełnia jakieś nadużycie, że za nie ukarana zostanie upokorzeniem.

Dziwna rzecz! Teraz właśnie, kiedy okoliczności zmusiły ją do wyrzeczenia się nawet widoku Krzysia, myślała o nim o wiele częściej, niż dawniej. Przychodziły jej do głowy rozmaite uwa-

gi, a w serduszkach zbiedzonych budziły się coraz to nowe wspomnienia i przynosiły z sobą nowe nasionka tęsknoty.

„Stara“ bywała zadumaną i smutną długimi godzinami, zwłaszcza, gdy nie potrzebowała pilnować się przed nieczyjmi oczyma, a szczególnie ojca, który spoglądał na jej zmizerowaną twarzyczkę badawczo i powtarzał:

— To dziwna, jak tobie to powietrze tutejsze nie służy; za świeże, prawda?.. Tociu i Mania wyglądają, jak piwonie, a ty nawet się nie opaliłaś na tem słońcu.

Uśmiechała się z przymusem i odpowiadała:

— Przywyknę powoli; zobaczy tatko, że jeszcze utyję, jak jaka młynarka.

Domyślność ojcowska nie myliła się co do przyczyn tego zmizerowania najstarszej córki, ale przez delikatność nie chciał poruszać drażliwej struny w sercu swojego dziecka; wiedział, że jest w niem jedno obolałe miejsce, którego lepiej nie tykać, i miał nadzieję, że z czasem wyleczy się samo.

Obowiązki nowego urzędu dawały mu dużo zajęć; okoliczność, że lat dwadzieścia kilka pracował w firmie Fattów i że na polecenie głównego współwłaściciela otrzymał posadę kassjera, bez kaucyi nawet, nadała mu odrazu pewnej powagi w cukrowni.

Uważano go za „człowieka zaufania“ i traktowano z większą atencją.

Pan kassjer w krótkim czasie nabrał miru i sympatii u swoich nowych kolegów w administracji; sam pan dyrektor zachodził do niego parę razy niby-to pod pretekstem obejrzenia mieszkania, które wymagało restauracyi, a niby z wizytą.

Minęło tak kilka miesięcy.

Dnie zbiegały jeden za drugim, tak podobne do siebie, jak paciorki nanizane na sznurek, a tak jednostajne, jak owe zkrystalizowane głowy cukru, które ładowano w beczki i wysyłano z buraków na stacyą kolei żelaznej.

Pewnego popołudnia Frania, korzystając z wolniejszej chwili, wzięła jakiś rozpoczęty kołnierzyk, który dziergała dla najmłodszej siostrzyczki, i usiadła z robótką w cieniu kilku bzykowych krzaków, rosnących za domkiem kassjera pod otwartym właśnie oknem swego pokoiku; był tu niby ogródek, zieleniący się gazonem trawy, obwiedziony krzakami agrestu, zasadzonego pod sztachtetami, które okrążały z tej strony terytorium fabryczne.

Jakaś samotna akacja, położywszy swe zielone ramiona na ogrodzeniu, zdawała się z drugiej strony zaglądać ciekawie w ten cichy zakątek i jakby jej żal było stać tak poza progiem, od pola, szemrała swemi listkami niby wymówkę i zwieszała swoje gałęzie do ogródka, jakby przez sztachtety przeleżała próbowała do mieszkańców kassjerskiego domu..

Daleko rozciągał się widok równiny młodem zbożem porosłej lub pastwiskami pokrytej, a na samym krańcu otwartego horyzontu zieleniło się pasemko lasu, w którym gubiła się prosta, biała linia bitego traktu.

Franiu lubiła siadywać tutaj samotna, bo zdawało się jej, że po tych rozlogach swobodniej bujają jej myśli; od pół wiało na nią jakieś orzeźwiające tchnienie, cały ocean świeżego powietrza nieustannie podpływał ku niej, akacja tajemniczym szmerem szeptała do niej a kwitnące bzy nad głową oblewały ją delikatną swą wonią.

Było jej jakoś smutno a dobrze z tą cichą, łagodną melancholią na tle uroczej natury, rozbudzonej wiosennem odrodzeniem.

Siedziała tak zamyślona z szydełkiem w ręku, z głową pochyloną i nie słyszała wcale, cichych kroków w głębi pokoju, nie uważała, że ktoś na palcach zbliżył się do okna, że się przez nie wyciągnęły dwie ręce i nagle, niespodzianie zasłoniły jej oczy.

Drgnęła i chciała zerwać się z siedzenia, ale czyjeś muskularne silne dłonie przytrzymały jej głowę i nie puszczały przemocą.

— Jezus, Marya!.. a to kto? — zawołała, siłąc się odczepić tę parę rąk, które ją tak znienacka osłepiły.

— No, proszę zgadnąć! — usłyszała nad sobą czyjś głos z umysłu zmieniony, ale w tej chwili ukropem rumieńca nabiegła jej twarz cała, szarpnęła się silniej i prawie z krzykiem: „Pan Krzysztof“ — odskoczyła aż na trawnik.

Z wnętrza pokoiku rozległ się pełny, radosny jakiś, zadowolony śmiech młodego pustaka, a w ramach okna wychyliła się do połowy jego postać w podróżnym ubraniu.

— A co? — wołał zadowolony — tom pani niespodziankę zrobił!.. prawda?..

Nie mogła oprzytomnieć od razu ze zdziwienia i z wrażenia; w piersiach jej kołatało tak głośno, jakby, nie jedno, ale cały tuzin serc miała, twarzyczka płonęła szkarłatem a oczy niespokojnie biegały tu ku niemu, to ku ziemi.

— Bodaj pana!.. jakżeż można... tak się przestraszyłam, jak nigdy w życiu! — jąkała drżącym głosem, w którym znać było i radość, i wzruszenie, i zmieszanie, i wyrzut.

— A to panią zaskoczyłem! — powtarzał z jakimś serdecznym zadowoleniem młodzieńczej pustoty — to mi się udało!.. no, przywitajmyż się, po tak długim niewidzeniu.

Wyciągnął do niej obie ręce, a widząc, że zawsze jeszcze onieśmielona nie chce się zbliżyć do niego, zręcznym skokiem gymnastyka przesadził parapet i znalazł się tuż przy niej.

— No, jak się pani miewa?.. pokaż się pani!.. mogłem zapomnieć, jak pani wygląda.

Z pewnem ociąganiem się podała mu rękę, ale jego gorący, radosny uścisk mimowoli pociągnął ją ku niemu.

— Co pan tu robi? — wyszeptała zmieszana — z kąd się pan wziął u nas tak niespodzianie?..

— A no, przyjechałem was odwiedzić; już mi się sprzykrzyło tak samemu!

Powiedział to z taką szczerością, tak od serca, że jej aż łzy w oczach stanęły.

— A... a... — zaczęła, zacinając się, ale nie dokończyła; chciała mu powiedzieć:

— A pan wie, że to nie wolno, — ale przypomniała sobie w porę, że tej najdrażliwszej kwestyi między sobą nigdy nie poruszali.

Sam widok jego sprawił jej jakąś tak żywą, tak dziwną radość, że wszystkie inne uczucia zgłuchły przy niej.

Musiła się hamować całemi siłami, aby mu się jak bratu nie rzucić na szyję i nie rozplakać przy tem powitaniu tak niespodzianem.

— Ja byłbym tu już o wiele wcześniej do was przyjechał — mówił, jakby czuł potrzebę usprawiedliwienia się przed nią — ale nie było sposobności. Teraz tak się dobrze złożyło, że w cukrowni jakieś się tam maszyny popsuly, więc jak nam znać dali, tak ja sobie odrazu pomyślałem: „Chwała Bogu!.. po co mam posłać mechanika, ja się sam kropnę, i za jednym zachodem odwiedzę sobie Pęczińskich!“ — no, i jestem. Cóż pani na to?..

Śmiał się i ręce jej ścisnął, nie zważając, że oboje trapią grządki kwiatów, które Tociu z Manią zasadziły na wiosnę.

— A... a... a był pan już w fabryce? — spytała go, ot tak, aby coś powiedzieć.

— Zkądże!.. przecież dopiero co przyjechałem, jeszcze mnie nikt nie widział; pokazali mi wasz domek, zaszedłem tu najpierw i tak szczęśliwie, patrz pani, że z pierwszą panią mogłem się przywitać. To wypadek dopiero, co?..

Zarumieniła się powtórnie na te słowa, ale wtrąciła zaraz:

— Ach, ale to nie wypada, żeby pan do nas zajeżdżał najpierw; i ojca pan nie widział?..

— Nie, nikogo.

— To trzeba po niego posłać...

— Eh, już ja go znajdę, bądź pani spokojną!..

— Nie, nie... ja w tej chwili... ja posłę...

Pobiegła ku drzwiom, ale ją uchwycił za rękę i przytrzymał:

— Czekajże pani, cóż tak pilnego?.. tak mnie się pani pozbyć chce szybko?..

— Nie to, ale...

— Ale nawet pogadać ze mną nie ma pani ochoty? ślicznie!

Spojrzała na niego mimowoli z takim wyrzutem, że ją w rękę pocałował na przeproszenie.

— Ach, panie Krzysztofie... któż to widział!

Wyrwała mu rękę i zawstydzona wbiegła do sieni.

W tej chwili od łąk, na ścieżynce wiodącej pod ogrodzeniem fabrycznym, z pękami polnych kwiatów w rękach ukazały się Tociu z Manią w swoich pensjonarskich jeszcze mundurkach, w dużych kapeluszach słomianych, wracające z poobiedniej przechadzki; zatrzymały się, zdziwione, zobaczywszy w swoim ogródku obcego mężczyznę i przypatrywały mu się, nie mogąc rozpoznać zdaleka.

Spostrzegł je i zaczął wołać na cały głos:

— Dzieci!.. jak się macie dzieci!.. Tociu!.. Mania!.. a chodźcież prędzej. To ja!..

Poznały go po głosie i pędem podbiegły ku sztachtetom z okrzykami radości:

— Krzysiu!.. Krzysiu!.. Krzysiu przyjechał!.. — zapominając o tylekroć przez ojca zalecanem uszanowaniu dla pana Krzysztofa.

Zadyszane, zamiast okrążyć fabrykę, przybiegły pod akacją wprost, trzepocząc rączkami, z rozpromienionymi twarzyczkami, uśmiechnięte, rozradowane, jakby im gość jaki spadł z nieba.

Przez sztachtety podawały mu ręce do uścisku, podskakując i śmiejąc się głośno, wrzaskliwie, po dziecięcemu..

— Dajcież mi buziaka na powitanie — wołał do nich, a oczy mu się śmiały również radością i zadowoleniem.

— Jak, które?.. kiedy nie można...

— Poczekaj, ja przeleżę, tylko mnie podsadź! — proponowała Mania starszej siostrze.

— Gdzież znowu!.. nie dostaniesz!..

— Dostanę... Krzysiu nam pomoże...

Chychotały na wyścigi, wtykały mu kwiaty swoje gwałtem do rąk, klaskały w dłonie, powtarzając na wszystkie tony:

— Krzysiu!.. Krzysiu!..

Musił je powstrzymywać sam od niebezpiecznego zamiaru przełazenia.

— Poczekajcie, pocałujemy się przez sztachtety tymczasem, — ot, tak!.. Dawaj buziaka, Tociu!

Ten pomysł podobał się im nadzwyczajnie; jak ptaszęta przez szczeble klatki nastawiały mu kolejno swoje dzióbki różowe i dawały mu pocałunki, odsuwając zazdrośnie jedna drugą.

— Teraz ja, teraz ja!..

Było mu tak błogo na duszy w tej chwili, czuł się kochanym i szczęśliwym...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Ciąg dalszy).

Przebywszy dolinę Zabulon i zamykając ją od tej strony wzgórze, dzikie, nieurodzajne, polodźnik staje na gruncie Sefory — starożytnej Sefory Historii Świętej, Diecezjany Rzymian za czasów Heroda Agrypy — największego po Jeruzalem miasta Palestyny. Mnóstwo starych grobów, wykutych w skałę, wskazywało nam drogę, aż na szczyt wyniosłości, gdzie leżało miasto. Dostawszy się tam, podróżnik spostrzega najpierw samotnie wznoszącą się kolumnę granitową, znaczącą miejsce, gdzie stała niegdyś świątynia rzymska, a w koło mnóstwo rozrzuconych kamieni, świadczących kształtami swemi, że ociosywała je ręka ludzka. Były między niemi widocznie rozbite kapitele ze śladami rzeźby. Głazy ogromne, niewątpliwie pochodzące też z jakiegoś wielkiego gmachu rzymskiego, i inne mniejsze — szczątki miasta, którego żaden inny ślad już nie przypomina oku, rozsiane są więcej niż na mile przestrzeni i służą obecnie posiadaczom dzisiejszym tej ziemi, Arabom, do odgraniczania między sobą drobnych poletek gruntu, uprawianego głównie pod kukurydzę. Jechałem z wolna środkiem tego obrazu znikomości rzeczy ludzkich, niewypowiedzianie smutnego dla oczu podróżni-

ka, który wie, jak zniszczenie przeszło tędy, zmagając z powierzchnią ziemi ślad nawet wszelki ludu, co się tu gnieździł jak wśród własności swojej: żył, cierpiał, walczył za drogie mu ideały — a dalej ślady tych, którzy panowali nad nim i te, zmieszane ze sobą, szczątki judejskich i rzymskich pamiątek, które natura, wiecznie płd na matka, zgarnęła razem, rozkładając na atomy, oddziaływały na mnie widokiem swoim w sposób niedający się wyrazić.

Południowy odpoczynek przypadał u źródła doskonałej i niewyczerpanej wody, poza granicą już owych śladów przeszłości. Źródło to zaopatrywa w wodę mieszkańców kilku dolin okolicznych, a otacza je kilka sadków drzew figowych i granatowych, pod których cieniem rozsiała się drużyna moja, bo na możność przysunięcia się tutaj dla napojenia koni i napicia się — odświeżenia organizmu smaczną, chłodną wodą, trzeba było czekać więcej niż godzinę czasu. Była to właśnie chwila, w której pasterze arabscy prowadzą do wody stada swoje krów i wielbłądów, kóz czarnych, i nieprzeliczone tego mnóstwo ciągnęło doliną i wśród wzgórz, które się podnoszą w kierunku Nazaretu.

Konie nasze rozkulbaczane były, ale spętane, i my również uwolniliśmy się z wszelkiego możliwego ciężaru; karabinki, pistolety, odłożyliśmy na stronę, choć Arabowie w płachtach z koziej wełny w pasy i czarne, patrzyli na nas krogulczym wzrokiem. Wdzięcznym rysem wśród tego obrazu były kobiety, przychodzące czerpać wodę, ubrane zupełnie tak, jak niewiasty judzkie z czasów patryarchów: w tunikach błękitnych, przepasanych w stanie, wierzchem tunika biała opadająca luźnie wdzięczną, swobodnie plisującą się draperyą. Błękitne zawoje okrywały głowy; Arabki trzymały na nich dzbany płasko położone, gdy były jeszcze puste, postawione prosto, skoro już napełniała je woda. Niejeden obraz malarza ukazał kobiety Wschodu w pozie takiej, ale trzeba je widzieć na własne oczy, aby poznać, jaki jest wdzięk oryginalnie pojęty w tem podniesieniu ramion, uwydatniającym kształty kibici, zwykle wysmukłej, trzymającej się prosto jak palma, z którą porównanie mimo woli na myśl przychodzi. Kobiety arabskie nie zasłaniają twarzy; córki tego pasterskiego ludu mają rysy delikatne i regularne, właściwe ich plemieniu, i różnią się tem od kobiet tureckich, również jak i kształnością postaci całej, wdziękem ruchów, nieposiadany przez Turczynkę, która prędko tyje, staje się ociężałą, a jest zwykle leniwą, gdy Arabka ma w sobie coś gazeli. Tatuuje sobie twarz, ale bardzo lekko, i nawet stara już zachowuje pewien szlachetny wdzięk, czyniący ją malowniczą przy wielkich, podługich oczach czarnych, ocienionych długą rzęsą. Obok tych, które przychodziły po wodę, była jeszcze na wprost oczu moich grupa praczek: dziewcząt i kobiet młodych, śmiały się między sobą i ciekawie, jak prawdziwe gazele z pustyni, patrzyły na nas, lecz jak gazele byłyby pierzchły natychmiast, gdybym się był posunął ku nim i przemówił. Na święto, na uroczystości, naprzykład, weselne, ubierają się w suknie z tkanin delikatniejszych, a głowy stroją bogato rzędami złotych cekinów lub piastrow; dziewczęta przeplatają niemi warokce. Wiezorami, w dniu świąteczne zwłaszcza, dziewczęta zbierają się w gromadki i tańczą, pod sykomorami lub granatami, lecz nie jest to taniec ludów zachodnich żywego, szybkiego tempa, ruchów wirowych, lub posuwistych. Arabki, tańcząc, tworzą koło, trzymając się za ręce, obracając się razem zwolna i tylko od czasu do czasu przeplatają ten ruch jednostajny jakimś bujaniem się miarowem, lub przez pewne *pas* bardzo proste, ale mające wdzięk wielki, coś łagodnie pojętego. Przyjaciółki narzeczonej dziewczyny zbierają się zwykle u niej gromadnie w pewne uroczystsze chwile: naprzykład, gdy narzeczone przynosi jej dary ślubne. Wychodzą zwykle na jego spotkanie gronem całem i oczekując go, tańczą.

Posuwając się dalej drogą moją, zaczynałem doznawać wzruszenia, uczuwanego niewątpliwie przez każdego z podróżników chrześcijańskich, gdy wstępuje na grunt przejęty wiel-

kimi wspomnieniami, które ożywiały się w mojej wyobraźni, stając się obrazami, dla których tło rozwijało się teraz przede mną, gdy wkroczyłem w dolinę Nazaretu zagłębią między wzgórzami i zdającą się być niegdyś wielkiem jeziorem o brzegach kolistych.

Słońce zachodziło, gdy ujrzałem przed sobą miasto wielkiej pamiątki. W głębi doliny rozkładało się ono naprost przede mną i po dwóch bokach podgórza. Kon był zmęczony, a jeździec pragnący, aby obraz ujrany pozostał nazawsze w jego pamięci, odbity na jej tle tak, jak oglądały go teraz oczy: więc posuwałem się powoli, między oliwnymi i figowymi drzewami, między płotami potężnych kaktusów, a miasto ukazywało mi białe, dźwięcznie ugrupowane domy, ponad którymi strzelały wysoko w górę bombaste wieże cerkwi greckiej, wysmukły minaret meczetu tureckiego i mury klasztoru katolickiego Franciszkanów. Ostatnie blaski dnia zaczęły gasnąć w chwili, gdy stanąłem u bram miasta, które, jak wszystkie miasta wschodnie, więcej obiecuje widokiem swym wśród wspaniałych obrazów natury, niż potem daje, gdy się w ulice jego zagłębi. Tu przecież jeszcze jedną ułudy przyczyną była ta nimb poezji, który od dziecka otacza nam w wyobraźni takie miejsca, gdzie się pełniły jakieś rzeczy wiekopomne.

Zakonnicy przyjmują gościnnie podróżnych; — klasztor ich obszerny jest i żadnej ułudy dla spokoju zakonnego życia nie przynosi przygnięcie tu obcego. Wejście samo w te mury starożytne jest otoczone pewną powagą uroczystą, która przejmie. Za zadzwonieniem otwarła się przede mną mocna brama żelazna i wjechałem na dziedziniec wyłożony płytami kamiennymi. Wśród panującego milczenia rozległ się głuchym łoskotem tentent kopyt koni naszych, które przecież zatrzymały się zaraz, bo tuż przed nami wznosił się kościół, postawiony na miejscu, gdzie według tradycji znajdował się niegdyś dom Matki Boskiej i Józefa Oblubieńca. Gwardyanem a razem proboszczem katolickiej parafii Nazaretu był Francuz, człowiek poważny, ale uprzejmy. Przyjął nas gościnnie, a że była to chwila wieczery, spożyłem ją wraz z ojcami, wśród których: Włochów, Hiszpanów i Francuzów, nie spotkałem żadnego rodaka ani nawet Słowianina. Przenocowałem w pokoju przeznaczonym dla pielgrzymów, a znajdującym się na tymsamym kurrytarzu, co cele zakonników. Znużony, spałem jak kamień, ale obudziłem się rano i pierwszą sprawą było uważne obejrzenie klasztoru, jego celikurrytarzy, rozległych, trzymanych przecież w stylu surowej prostoty, jak wszystkie klasztory zakonników tej reguły, którzy przysięgają na ubóstwo. Za raz następnie, wezwany głosem dzwonów, udałem się do kościoła, wspaniałego i bardzo bogatego, obszernej świątyni, której nawa dzieli się na trzy kondygnacje. Piętro górne stanowi chór dla zakonników, którzy mogą się tu udawać wprost z klasztoru drzwiami, wiodącymi z jego kurrytarzy; poniżej jest świątynia właściwa, wielce wspaniałego efektu, zwłaszcza gdy się do niej schodzi z choru, pięknymi schodami, z kunsztowną po obu stronach złoconą balustradą. Kościół dolny to grota, gdzie według podania miało spotkać Najświętszą Pannę zwiastowanie anielskie. Schodzi się tam z poza wielkiego ołtarza po piętnastu stopniach; przestrzeń dwadzieścia stóp długa i dwadzieścia stóp szeroka jest cała wyłożona białym marmurem, z którego jest też zbudowany ołtarz, ze starym obrazem, przedstawiającym scenę Zwiastowania. Wazony, także z białego marmuru, stoją pełne róż i kwiatów, szkoda, że sztucznych, gdy oko pragnęłoby tu właśnie świeżych, wonnych, cudowną jakoby siłą rozkwitłych i nigdy niewiędnących lilii białych. Największą osobliwością groty są dwie kolumny z białego też marmuru: jedna z nich wznosi się wysmukle w górę, druga spuszcza się od sklepienia ku dołowi i mają one przedstawiać to miejsce, gdzie w chwili Zwiastowania stała Najświętsza Panna i to drugie, z którego spuścił się ku niej Anioł. Cudowną tę scenę oddaje bardzo piękne malowidło, które w kościele górnym zawieszane jest za ołtarzem ponad miejscem, gdzie zstępuje się na schody, wiodące na dół do groty,

a dar to jest dzisiejszego cesarza austriackiego, Franciszka Józefa, szkoda tylko, że nie wiem, jakiego to malarza jest dzieło.

Nad tą grota miał według podania stać dom Matki Boskiej.

Gdy z krypty do górnego kościoła powróciłem, ucho uderzył wspaniały śpiew chóralny; pielgrzymi to ze wszystkich części świata witali miejsce cudu, do którego z dalekich stron pobożnie dążyli. Przez wspaniałe kolorowe okna wpadały promienie porannego słońca, i świątynia była pełna tęczowego blasku, co razem tworzyło obraz, jakiego już pewno nie ujrza po raz drugi oczy moje, bo trudno sobie wyobrazić gorącość modlitwy tego ludu, który z ziem dalekich, z zamorza tu przybył, niejeden żebząc u dobrych ludzi kawałek chleba — niejeden zostawiając poza sobą całe swe mienie. Trudno mi też było wyjść ztąd; wzruszony, pierś miałem przepełnioną uczuciem, które się wyrazić nie da przez słowa; przecież zakonnik, Francuz z Prowansyi, który dużo ziemiaków moich niegdyś znał i ztąd szczególną życzliwość mi okazywał, wyciągnął mnie prawie gwałtem, bo chciał, abym miasto z wysokiej dzwonnicy o tej właśnie chwili dnia oglądał, gdy kierunek promieni słonecznych najlepiej je dla oka patrzących ztąd oświeca. Dzwonnica ta, zbudowana na wzór włoskiego *campanile*, jest już sama godną widzenia, a widok z niej na wązkie, wschodnim sposobem brudne, ze względu na nierówność gruntu z jednej tylko strony zabudowane, ulice jest oryginalności niewyrowiedzianej. Gdy patrząc z tej wysokości widzi je pod nogami swymi rozciągnięte, to jakgdyby oglądał obraz jakiś; ztąd też można najlepiej budowę domów obejrzyć, stylu tak starożytnego, jak chyba nigdzie już na ziemi, bo nie zmieniono tu od czasu, gdy Chrystus po ziemi tej chodził. Do wybitniejszych szczegółowości należy dach, który ma kształt platformy; prowadzą nań schody prosto ze łworu i nie jest to głównem jego przeznaczeniem, aby dom pokrywał, ale przez całe lato stanowi on główne miejsca zamieszkania rodziny, która tu śpi, je, pracuje tak zupełnie jak we wnętrzu domu, gdzie też latem upał jest do niewytrzymania, a przy zaciśnięciu ulic i braku świeżego powietrza dusić-by się tu z niego musiano.

Widzieć też ztąd można kapliczkę, wzniesioną w miejscu gdzie był niegdyś stolarski warsztat S-go Józefa. Znajduje się tam w ołtarzu obraz, na którym Matka Boska wraz ze S-tym Józefem Pana Jezusa uczą i z uwielbienia pełnym podziwem spostrzegają, że wie On — umie więcej, niż oni. Drugi obraz przedstawia Chrystusa, gdy Św. Józefowi jako mały terminator do pomocy służy, a narzędzia, które przy pracy się posługują, są tak pierwotne, że zdaje się to przenawiać za wielką starożytnością malowidła, przecież nie dowód to żaden, bo do dzisiejszych czasów miejscowy stolarz innych nie używa. Wszystko tu jest przez niepojętą zachowawczość jakgdyby skryształizowane i gdy podróżnik spotka się gdzie z grupą kobiet, naprzykład, u źródła, gdzie wodę czerpią, zobaczy postacie, które mu ewangeliczne niewiasty, Marye lub Marty przypominą. Rysy, kształty tesame: wysokie, proste silne postacie, o regularnych liniach, często bardzo pięknej twarzy, z której patrzą, duże, mądre, spokojne oczy ciemne, mówiące patrzącemu o wielkiej sile ich ducha. Włosy mają bardzo bujne i długie, noszą je zaplecione w warokce, które na plecy spadają, ale chrześcijanki nakrywają jeszcze głowy welonem takim zupełnie, jakim malarze okrycie głowy Najświętszej Panny czynią. Pasy ich i tuniki są, zwłaszcza w dni świąteczne, z barwistych, jasnych materiałów. Już w VI wieku wysławiana była piękność kobiet z Nazaretu, co pobożny pielgrzym przypisywał szczególniejsze Matki Boskiej. Już dziećmi są one bardzo ładne i wesołe, bardzo grzeczne, ukladne, co jest skutkiem szkół misyjnych, szczególniejsze zajmujących się dziewczętami, których położenie w rodzinach arabskich jest o wiele niższe, niżeli chłopców. Tylko urodzenie syna bywa tu witane radośnie, córkę uważają za niepotrzebnie ciężary rodziny powiększającego członka i zwykle obchodzą się z nią surowo: dlatego może Arabka, żyjąca od dzieciństwa w poniżeniu, na taki

smętny, tęskny wyraz swoich pięknych dużych oczu, które przez łagodną słodycz spojrzenia mimowoli za serce chwytają. Wielkim jest szczęściem dla biednej tej istotki młodej, gdy się dostanie do szkoły, które tu utrzymują wszystkie trzy wyznania chrześcijańskie: katolickie, greckie i protestanckie. Nazaret liczy sześć tysięcy mieszkańców, niemal wyłącznie Arabów.

Cały pierwszy dzień pobytu mego tutaj poświęciłem wyłącznie zwiedzaniu miejsc historycznie świętych. Byłem też i w synagodze, którą tradycja miejscowa uważa za bardzo starożytną. Najstarszą budowlę w mieście — tęsamą, w której według Ewangelii Ś-go Łukasza Chrystus bywał: chłopięciem mędrców słuchał i sam nauczał. Przecież nazajutrz chciałem poznać żywe życie, które się tu, na tym starożytnym gruncie wielkiej przeszłości, obecnie rozwija. Z pierwszym braskiem słońca, jak wogóle na Wschodzie, budzi się tu ono w sposób przecież, który ani wdzięcznym ani poetycznym bynajmniej nie jest. Ledwo że pierwszy promień różowego jeszcze światła draśnie najwyżej strzelający tu w górę minaret tureckiego meczetu, wnet jedyni stróże nocni miasta, niezliczone sfery psów, które można nazwać dzikimi, bo bezpańskie są, nienależące do nikogo i żywiące się własnym przemysłem, jak we wszystkich miastach Wschodu — zaczynają na pobudkę wyć i szczekać tak, że i ludzie zbudzić się muszą. Najpierwszymi istotami ludzkimi, które się na ulicach ukazują, są kobiety, w szafirowych, czerwonych, pomarańczowych osłonach głowy, które tu tak na czoło spadają i są koło twarzy i szyi udrapowane, że głównie oczy tylko błyszczą, a te ich różnobarwne osłony roz-weselają oko i miastu zaraz z rana dają oryginalną fizioznomię. Kobiety te zbierały dnia poprzedniego gałęzie w lesistych wąwozach gór i spieszą teraz do miasta, aby je sprzedać, zasiadają na rynku i znużone oczekują w cichości na kupujących, których nigdy nie brakuje.

Kobieta wschodnia jest wogóle cicha i, powiedzieć można, pokorna, zgadzająca się łagodnie ze swoim podrzędnym położeniem i uznająca w mężczyźnie pana. Zaraz też licznie przybywający nabywcy drzewa dają to poznać po sobie, a rynek zaludnia się z każdą chwilą coraz-tó innymi postaciami, ciekawymi dla oczu Europejczyka, którego wzrok spotyka coraz-to nowe, nieznane sobie typy.

(Dokończenie nastąpi.)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Marcu 1890 r.

Dymissya Bismarcka. — Wrażenie we Francji. — Ćwiczenie środopostne. — Piękny czas i huczne zabawy. — Odwet polski. — Paderewski, jego koncerty i wziętość. — Grabowski. — Dziwaczny testament dziwaka. — Kazania wielkopostne O. Monsabégo, Dominikanina, u Najświętszej Panny Paryżkiej. — Pożegnanie wymownego kaznodziei — Rzut oka na przyszłość tej kazalnicy i nadzieja na przyszłość. — Pani Batifol i jej testament. — Piękny czyn skromnej kobiety. — Słowno o ostatniej powieści Emila Zola „La Bête humaine“.

Jeżeli zjawienie się w Paryżu ks. Orleańskiego można było nazwać grubym ćwiekiem miesiąca Lutego — oileż grubszym, potężniejszym świekiem w Marcu była sławna rejterada żelaznego Pomorczyka! Niespodziewany dla wszystkich, ale najnie spodziewańszy może dla niego samego, był ten akt czulego rozstania się ze swym młodym elementem. To też o Orleńczyku już prawie zapomniano przez ten czas dość długi, w którym upadał — kto? niewzruszony Bismarek.

Tylko człowiek wychowany w szkole tego starego lisa mógł się tak ładnie popisać i w tak gład-

ki sposób rozwiązać stalowe więzy, które mu od dzieciństwa silnie przecież krępowały ręce.

Psychologicznie ciekawą teraz jest rzecz: czy w tej ważnej a strasznej chwili, stanął przed oczami pomorskiego obra cały ten szereg historycznych postaci, poświęconych z taką krwią zimną, chciwie i żądzy władzy tego człowieka? — zaczawszy od Arnima, który mu z uśmiechem męczennika wyrzucił okrutne *Pro nihilo!* i przechodząc przez cesarza Fryderyka, aż do tego tłumu znanych i mniej znanych ofiar, zduszonych jak szczury w pułapce, którzy, z naszym biednym Kraszewskim na czele, rzucali mu z kolei te słowa: „Zgrzeszyłeś, bracie lisie, trzeba pokutować!“

Nie pierwszy to przykład w historii ludzkości — takiego wyniesienia, takiej władzy, i... takiej upadku. Były nawet upadki tem straszliwsze, im większą była zagarnięta władza. Każdy naród może tego postawić przynajmniej jeden przykład. Tylko rozwiązanie współczesnego nam węzła historycznego, rozwiązanie tak gładkie a tak stanowcze, jest dowodem tego postępu cywilizacji, przez który ludzkość przeszła niepostrzeżenie prawie, a którego ślady na każdym znajdujemy kroku.

Nie są to więc rzeczy szczególne lub dziwne; cała rzecz w tem: czy człowiek ten, tak gwałtownie szarpnięty w swej miłości własnej, myśli o swej przeszłości i czy myśl jego patrzy na tę przeszłość z tęsamem uczuciem, z jakim my na nią patrzymy?

Tutejsi pisarze, wszelkich, nawet najsłabszych odcieni, przyjęli wiadomość spokojnie, i przyzwoliła dały jej odpawę. Trzeba się dziwić nawet tak powszechnej zgodzie, która widocznie jest tylko skutkiem powszechnego także uczucia, jakie wywołało nagle i niespodziewane wrażenie tak wielkiego wypadku.

Usunęły się tu przed Bismarkiem na dalsze plany nawet własne mitęgi: zmiana w składzie ministerium przeszła niepostrzeżenie prawie chociaż w innej chwili byłoby tu gadania i ciągania bez końca; przeszła też spokojnie zapowiadana manifestacja rzeźników jako opozycja przeciwko wprowadzaniu do paryżskich jatek baranów węgierskich, żywych czy bitych. Skończyło się na tem, że publiczność wygrała, bo węgierskie barany są tańsze. Lepsze są zapewne tutejsze, ale też kosztują daleko drożej. Chociaż nasze stare przysłowie powiada: „Za tanie pieniądze, psi mięso jedzą“; przecież należy każdemu zostawić swobodę urządzania się według własnej woli. A więc dobrze rząd tutejszy zrobił, kładąc swe *vetu* w tej kwestyi i zabraniając wszelkiej manifestacji przekupniów. Ale, jak powiedziałem, wszystko to znika i milknie wobec wypadków berlińskich.

Dzięki fantastycznemu waryacyom miesiąca Marca Paryżanie mogli dać folę i swoim własnym i *środopostnie* odhulano co się nazywa. Czas był prześliczny, ciepły, obłany blaskiem słońca, prawdziwy dzień wiosenny. Trzeba było widzieć jak się wszystko wysypało na ulice, na bulwary! Chyba tylko obłożnie chorzy i kaleki pozostali w domu.

Ponieważ od rana pogoda zapowiadała dzień przyjazny zabawie — od rana też tłumy ludzi zaczęły się zbierać na ulicach miasta, ale około godziny drugiej z południa, ścisk był tak wielki, jakiego oddawna nie widziały tutejsze bulwary. O tej jeszcze godzinie maski i maski były dość rzadkie; zato rozweselali oczy Milusińscy, którzy przebrani i wystrojeni z tym smakiem z przepychem, którego tajemnicę posiadają jedni tylko Paryżanie, ciągnęli w towarzysztwie rozpromienionych i uszczęśliwionych rodziców na poranne przedstawienia, bale i festyny — urządzone wyłącznie w rozmaitych teatrach i salach dla dzieci.

Te maskarady dzienne miały w tym roku szczególny wdzięk, bo były powtórzeniem w miniaturze tych wielkich processyi narodów, któreśmy oglądali na wystawie powszechnej. Byli to małenicy Hiszpanie i Hiszpanki, Indianie i Indyanki, Anamici, Chińczycy, Japończycy — słowem: nie brakło nikogo, a każdy prawie przychodził z tem usposobieniem dzieci francuzkich, które od małenkości przyzwyczajają się grać komedią *serjo*.

Wiele z tych improwizowanych masek odznaczało się niesłychanym wdziękiem i doskonale odegrywało powierzone sobie role. Talent naśladowania, który nie może być jeszcze skutkiem studyowania efektów z natury, lecz przychodzi z na-tchnienia, prawdziwie podziw obudza.

W tym rodzaju potrzeba tu wspomnieć bardzo zabawnego dzieciaka, który wzdluż wielkich bulwarów odniósł prawdziwy tryumf. Chłopię, mające najwięcej lat siedm, w mundurze dobosza okazało się takim artystą bębna, że Francuzi, którzy przepadają za wszystkim co się dotyczy ich wojska, z prawdziwym tryumfem prowadzili małego wirtuoza, zachęcając go oklaskami i głosem.

Około godziny drugiej wielkie maskarady z reklamą handlową, zaczynają powoli wysuwać się na scenę; oddad defilada bez żadnej przerwy trwała przeszło cztery godziny. Wśród tego popisu otrzymuje widocznie wielkie premium powodzenia i ciekawości tak zwany „Orszak kopciuszka“.

Rydwany pięknie zaprzężony przedstawia ogromną łódź, jaśniejącą złotem i ozdobioną sztandarami błękit ze złotem. W tej łodzi, która widocznie jedzie na połów, pełno jak w jajku, młodych, wesołych kobiet, bardzo świetnie wystrojonych, a wesołych i pustych, jak stado czyżyków. Żadna z tych buź się nie zamknęła na chwilę: jak grad, tak się sypią z łodzi odpowiedzi na zapytania, zresztą choć dowcipne lecz skromne, które im rzuca uradowana ich widokiem publiczność.

Wielkie też powodzenie dla trębaczki, którzy pod hasłem dziwaczem: „*de Citrouilly-les-Cannards*“, odegrali bardzo umiejętnie rozmaite myśliwskie pobudki, znane tu dobrze oddawna a zawsze miłe Paryżanom, której całe myślistwo kończy się i zaczyna w ogromnych sklepach zwierzyni.

Jeśli dodamy do tego kawalkady i maskarady urządzone świetnie przez wielkie paryżkie praczarnie, których-to właściwie środopostnie jest dniem tradycyjnym występu i święta, — sławne wozy złożone piwowarni — bachiczne reprezentacje winiarni i fabryk tłoczenia wina: będziemy mieli główne świecące punkta tej olbrzymiej defilady, która dzięki ślicznej pogodzie posiadała rzeczywiście wdzięk niezaprzeczony.

Wieczór dnia tego był jeszcze weselszy, bo publiczność zalana napływem gości z przedmieścia, nie znała już miary i końca swej wesołości. Stało się więc, że zaczawszy od bulwarów Montmartre, aż do placu Wielkiej Opery i do Magdaleny — powstał taki ścisk i zamęt, iż dopiero około północy rozwinął ścisnięte swe kłęby i wolne dał pole przechadze. A czemu się dziwić należy, to temu, że wśród takiego ścisku nikt uduszony nie został.

O godzinie pierwszej po północy jeszcze na *Valete* ukazała się grupa trębaczów, dziwnie postrojonych, pod wodzą olbrzymiego tamburzaora. Byli to młodzi malarze i rzeźbiarze z Montmartre, którzy na dobranoc Paryżanom odegrali, trzeba oddać im sprawiedliwość — z doskonałym uczuciem artystycznym — najlepsze muzyczne utwory na trąbach i trąbkach. Dobrze to raz posłyszeć i dosyć, chociaż — jak mawiał niegdyś Nestroy, sławny komik i komedyopisarz wiedeński — trąba, gdy do niej przywykniesz, jest to łagodny instrument.

Jakkolwiek bądź, dzięki pogodzie, Paryżanie mogą sobie powiedzieć, że wesoło odświatkowali środopostnie tegoroczne. Dawno już tego nie było tutaj.

Wiedzieli już, jak nisko spadły nasze papiery na brzydkim rynku tutejszego świata od pewnego czasu. Cóż robić? Czekajmy cierpliwie, ludziska tu zmienni okrutnie — więcej jeszcze, jak u nas; lada wietrzyk, chorągiewka na dachu skrzypi — ale to przejdzie, bo wszystko tu jak na piasku zbudowanem. Było tak, było i inaczej.

Tymczasem wzięliśmy odwet. Nie lubię tutejszych koncertów i rzadko na nie chodzę. Tym razem poszedłem jednak, bo to był koncert Paderewskiego. Wyszedłem ztamtąd jakby olśniony. Ten mały człowieczek wstrząsnął mną do głębi.

Grał wiele rozmaitych rzeczy. Grał *Nocturne* Szopena, sławny polonez Liszta, grał *Fuge* Ba-

cha, grał własne swoje kompozycje. Oczarował, oczarował nietylko mnie, ale Francuzów—to do-
syć! A każda kompozycja była odegrana z tem
uczuciem prawdy, jakgdyby to nie on, Paderew-
ski, ją egzekwował, ale sam Szopen, Liszt,
albo ów Bach, o którym sprawiedliwie mawiał
Hugo, że Bach jest to las! A uczucie delikatne,
subtelne cieniowanie, jest tak niezmiernie u Pade-
rewskiego, że człowiek pyta się: czy to nie złudze-
nie własne czasem?.. czy ten człowieczek nie rzu-
ca czaru?

A zaraz na wstępie zmaciła mi szyki ta dro-
bna, wiotka, maleńka postać, to prawie tensam
mój Szopen. Tylko potężna ruda czupryna tworzy
kontrast ze śpiewakiem nieśmiertelnych ele-
gij i zapowiada, że ten dni dzisiejszych wirtuoz
gorzkiej, cierpkiej a bolesnej, tęsknoty, jeśli i do-
tknie, to tylko, aby przypomnieć mistrza. Ci
właśnie dzisiejsi słuchacze, jeden chyba na dwu-
stu zasłyszał Szopena; reszta sądzi naślep i dla-
tego chciano tu gię Paderewskiego porównywać
do gry Szopena. Tak nie jest: że Paderewski
wykonywa z najsubtelniejszym mistrzostwem
wszystkie utwory Szopena, to nie ulega wątpli-
wości; że często sprawia złudzenie—tak!—ale to
jest inny wcale mechanizm, inne uczucie, inna
gra—równie, doskonała, korzystna — ale wcale
inna!

Wracam do tej rudej czupryny, która, jak snop
naszej pszenicy, pokrywa mu głowę i przypomina
starą polską dykteryjkę, proszącą o pobłażanie
dla rymów.

Was bałabański, czupryna czerkieska
Nie zważaj, mościa panno, choć fortuna kiepska.

Na szczęście, w tym wypadku fortuna nie kiepska—a więc *bene*.

Paderewski, jak Szopen — powoli i spokojnie
czar swój roztacza. Jak o początkach tamtego,
dzienniki milczą prawie, ale to wszystko co się
rozmątnia do sztuki, do muzyki, tłoczy się do-
słownie około mistrza

I tu jest nasz odwet. W kilka dni po tym koncer-
cie pani Br., która tu jest powagą artystyczną
wielkiego świata, przysłała mi bilecik w tych
słowach: „Paryż odnalazł znowu swego Orfeu-
sza! We Środę będę grać na cztery ręce z Pade-
rewskim—przyjdź pan, ale niezawodnie!”

Poszedłem i do reszty oczarowany zostałem.
Pod palcami tego wirtuoza są rzeczy dotąd jesz-
cze nie wyrażone przez nikogo w ten sposób;
czułość dotknięcia klawiszów, czystość dźwięków,
przechodzi pojęcie: są to perły i brylanty. Muzyka
podniesiona do tego stopnia, czy-to własnej jego
kompozycji czy wykonana z cudzych utworów—
staje się jakby nową sztuką, w której wszystko
się zmienia: myśl, płomień zapału, umiejętność,
poezja—wszystko. Godzi to nas nakonec z forte-
pianem, który pod ręką takiego mistrza przeo-
braza się zupełnie!

Stało się więc! Otrzymaliśmy nasz odwet. Te-
raz życzymy naszemu mistrzowi, aby nie zanied-
bywał tej skiby, którą tak głęboko polskim plu-
giem zorał. Na tej skibie znajdzie on plon obfi-
ty, nietylko ziarno, ale pociechę i chwałę. Ludzie
tutejsi trudno się dają porwać, ale raz porwani,
daleko, daleko idą!.. Szczęść Boże!

Żeby nie pominąć odwrotnej strony medalu,
oto jest sprawa o testament niejakiego p. Grabow-
skiego. A naprzód „Gazeta Lwowska“, czyniąc
o tem wzmiankę, powiada: że nieboszczyk, były
mecenas i właściciel dóbr w Lubelskiem, umarł
„w Warszawie“. „Typowy dziwak i oryginał“—
dodaje gazeta. Dzienniki warszawskie, zawsze
według gazety, podają treść testamentu. Zapi-
sał, między innemi, kilkadziesiąt tysięcy na wyda-
nie poprawnego dykcyonarza Lindego; dalej zna-
czniejszą sumę na postawienie pomnika w Pa-
ryżu i t. d. Owóż, na początku tego miesiąca za-
rząd Instytutu zapytywał mnie prywatnie o szcze-
góły dotyczące się życia p. Grabowskiego zmarłego
w Paryżu w Szpitalu Miłosierdzia, a który zło-
żył u jednego z paryżkich notaryuszów testament
właśnie takiej treści, jak podaje gazeta, ale gdzie
na pomnik, mający stanąć w Paryżu—(wdzięcz-
ność Polski dla Francji)—nieboszczyk przezna-
czył blisko milion.

Ten p. Grabowski, zmarły w szpitalu, miał po-
wierzchność zaniedbaną, ubogą i żył dosyć sa-
motnie. Co to jest więc za zagadka? Ja nie mo-
głem odpowiedzieć stanowczo,—chyba dzienni-
karstwo warszawskie pomoże nam rozwiązać to
zagadnienie i wyświecić: czy to dziwactwo, czy
rzeczywistość oryginalna w tem się kryje?

W tej chwili, kiedy u stóp ambony u Najświęt-
szej Panny Paryżkiej wierni, pobożni i ciekawi
cisną się tłumnie, aby usłyszeć ostatnie nauki
i rady wymownego kaznodziei tak zwanych Wiel-
kopostnych konferencji ojca Monsabrégo, Domi-
nikanina, nieodrzeczy będzie wspomnieć tu w kil-
ku słowach o tych konferencyach i w krótkim za-
rysie przedstawić przeszłość tych kazań i stano-
wisko dzisiejszego kaznodziei.

Mówiąc wyżej, że wierni cisną się, aby usły-
szyć ostatnie słowa nauki i rady znakomitego
kaznodziei, myślałem nietylko o dobiegających
ostatnich chwilach postu, ale jeszcze przede-
wszystkiem o tem, że to jest ostatnie wystąpie-
nie Ojca Monsabrégo na ambonie Najświętszej
Panny. Tak, kazalnica ta znowu przywodzi
wdowie szaty, jak to powiedziano wymownie
o niej po śmierci Lacordaire'a. W mowie wygło-
szonej na otwarcie nauk wielkopostnych w Nie-
dziełę 23 zeszłego Lutego, Ojciec Monsabré
oświadczył, „iż stanął u końca swojego zawodu“.

— „Tak — mówił jednemu ze swych blizkich —
skończyłem mój zawód: wszak oto dwadzieścia
już lat, jak przemawiam z tej kazalnicy; w tej
chwili kończę tłumaczenie dogmata. Gdybym był
młodszym, mógłbym rozpocząć etykę. Ale to wy-
magałoby dziesięciu postów, a ja mam sześćdzie-
siąt dwa lata! Co zaś do puszczania się na dro-
bne, wypadkowe kazania, to kiedy Bóg pozwolił
swojemu słudze wznieść gmach ogromny, reszta
jest niepotrzebna“. Tak ten potężnymówca, który
umiał nowe zarysować drogi dla swego słowa na
starej mównicy—schodzi skromnie, poprostu, jak
każdy inny braciśzek zakonu z tej widowni świa-
ta i idzie zamknąć się w murach swojego klaszto-
ru w Hawrze, którego jest przełożonym. Nauka
to wielka dla tych, którzy ją rozumieją.

Piękna byłaby do napisania historia tej starej
ambony Najświętszej Panny, kilka jej rysów
wydatniejszych rzuciło pióro znakomitego cudzo-
ziemca, księdza biskupa Cremony, Jeremiasza
Bonomelli, w książce pod tytułem: *Il pulpito di
Nostra Donna di Parigi*.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, że poruszono
tam kwestyę zbadania przepisów o pracy ko-
biet w fabrykach i zakładach przemysłowych.
Przepisy, regulujące warunki tej pracy, są tym-
czasowe i termin ich trwania kończy się z rokiem
bieżącym. Nowe przepisy wydane też będą przed
upływem tego czasu.

— Stałe muzeum wzorów robót kobiecych roz-
maitego rodzaju ma być otwarte w Petersburgu.
Zamierza to uczynić towarzystwo, popierające
zawodowe kształcenie kobiet.

— Komitet Wystawy Rzemieślniczej odznaczył
wystawczyń dwanaście, którym przyznano: naj-
wyższą nagrodę: dyplom uznania, hr. Stanisławo-
wej Zamoyskiej z Podzamecza za wytrwałą pracę
w prowadzeniu szkoły parobczanej. *Medale
srebrne* pp. Helenie Tokarzewskiej za wielostron-
ny kierunek szkoły rzemiosł kobiecych; „Marie“
za dokładny wyrób gorsetów, Zygmunto-
wej Liebkind za artystyczne wypalanie na drzewie;
Bronisławie Popielewskiej za gipiury, T. Kacz-
kowskiej za kamasznictwo; *Medale brązowe*:
Stanisławie Schwartzowej za dobre wyroby
pończosznicze, Justynowej Wojewódzkiej za pa-
smanteryę, J. Przewockiej za staranne prowa-

dzienie szkoły rzemiosł kobiecych. *Listy pochwal-
ne*: M. Mundeckiej za próby pasmanterii,
M. Piaszczyńskiej za wyrób pończoch, F. Ru-
dzińskiej za staranność w wyrobach pończoszni-
czych, M. Zawadzkiej za wyrób kwiatów ze
skóry.

— Wystawa pracy penitentek, przebywają-
cych w *Domu Schronienia Opieki N. Panny Ma-
ryi* przy ulicy Żytniej, była otwarta w tygodniu
przedwielkanocnym. Zakład dzieli się na trzy
oddziały pracy: haftu złotem i wyrobu szat ko-
ścielnych, haftu białego i wyrobu koronek, szycia
bielizny i prania najdelikatniejszego. Penitentek
przebywa w zakładzie 80, z tych najwięcej odda-
je się haftowi białemu i szyciu bielizny, która-to
praca wykonywa się na zamówienia. Wystawa
zajmowała dwa obszerne pokoje; dział aparatów
kościelnych przedstawiał się najliczniej, odzna-
czała się tu szczególnie piękna kapa gobelinowej
roboty i ornat złotem haftowany w stylu XIV
wieku. Dział koronkarski był równie bogaty.
Prace pensjonarek zakładu przynoszą pewną po-
moc pieniężną instytucji, bardzo ograniczonej
w funduszach.

— Szkoła zegarmistrzostwa dla kobiet zo-
stanie wkrótce otwartą w mieście naszym. Zało-
życielką jest p. Helena Babczyńska, córka ze-
garmistrza tegoż nazwiska, nagrodzona na osta-
tniej Wystawie Pracy Kobiecej złotym medalem
za pracę z zakresu zegarmistrzostwa. Kształci-
ła się ona w kunszcie swoim w Genewie przez
lat kilka, teraz, wróciwszy do kraju, otwiera
szkołę, przypuścić można, że przy zakładzie ojca,
jednego z najlepszych zegarmistrzów naszych.
Kurs nauki będzie trzyletni; zarobek, odpowie-
dnie do uzdolnień pracującej, może być od 30—
40 rs. miesięcznie, a zajęcie samo jest ze wszech-
miar przypadające na dział pracy kobiecej, bo
wymaga ono ręki delikatnej i staranności w wy-
konaniu, pozwala pracować w domu, bez żadnej
pracowni specjalnej, i potrzebuje tylko kawałka
dobrze oświetlonego miejsca.

— Program szkoły rzemiosł artystycznych
p. Bronisławy Poświkowej, znany już czytelnikom
naszym, opracowany został na wzór mona-
chijskiej *Kunstgewerbeschule*, w zakresie zmniej-
szonym do rozmiarów szkoły prywatnej; p. Po-
świkowa przebywała w Monachium dwa miesiące
dla obeznania się dokładnie z duchem zakładu.
Szkoła jej zostanie otwarta w Warszawie
d. 1-go Września, nie 20-go, jak mylnie pierw-
jeden podo.

— Niepraktykowany dotąd u nas przez kobie-
tę, ale niezem z kobiecością nie sprzeczący się
zawód pracy obrała sobie córka urzędnika kolei
dąbrowskiej, p. W. Z. Od lat trzech uczy się ona
w Paryżu weterynaryi, uczęszczając na wykłady
tamtejszej szkoły weterynaryjnej, których słucha
również kilka Francuzek. Z bieżącym rokiem
szkolnym kończy się nauka tej pionierki nowego
zawodu pracy kobiecej, poczem p. W. Z. zamierza
praktykować we Francji, na prowincyi.

— P. Ewelina Goldkranc, Warszawianka, po
ukończeniu studiów medycznych w Paryżu, pra-
ktykuje obecnie w Algeryi, w Oranie, gdzie zaj-
muje miejsce ordynatora w otwartej tam świeżo
stacyi klimatycznej. Po skończeniu studiów w pa-
ryżkiej akademii medycznej panna ta wróciła do
kraju i czas jakiś przebywała w mieście naszym;
dopiero, otrzymawszy wyżej wymienioną posadę,
wyjechała do Algeryi.

— Akademia Francuzka otrzymała zapis
90.000 franków na cel wysoce pożyteczny. Ofia-
rodawczynią jest Paryżanka, M-me Sobriet, któ-
ra złożyła Akademii wymienioną sumę, z zama-
rem, aby procent służył na coroczne premia dla
autorów książek dla młodego wieku z naj-
szlachetniejszą, najlepiej pouczającą myślą prze-
wodnią.

— Zmarła w Paryżu w 1884 r. Prudencja
Batifol zapisała miastu 10.000 franków rocznej
3% renty państwowej z przeznaczeniem obdarza-
nia corocznie jednej niezamężnej, uczciwej i pra-
cowitej robotnicy, Paryżanki. Corocznie wy-
znaczona w tym celu przez gminę paryżką komis-
sya rozpatruje podania kandydatek, wybiera
z ich liczby od 10—do 15, aby następnie prefekt
Sekwany, po zebraniu dokładnych wiadomości

wyznaczył z pomiędzy nich laureatkę. Ta kobieta nagroda cnoty przyznaje się corocznie dnia 1 go lub 15 Kwietnia; ubiegające się o nią powinny być rodowitemi Francuzkami, liczyć lat od 21 — do 30. Wśród dwóch kandydatek, równych kwalifikacyi, nagroda przyznaje się starszej. Liczba zgłaszających się wzrasta corocznie; w pierwszym: 1885 r., było kandydatek 150, w zeszłym, 1889 r., 262. Najwięcej staje tu do konkursu szwaczki i zdaniem kommisji sędzących, kobiety, oddające się tej pracy prowadzą życie najprzykładniejsze. Na ogólną liczbę 860 kandydatek było 560 szwaczek, co tłumaczy się tem, że szwaczki w znacznej liczbie mogą pracować w domu, lub prywatnie, w rodzinach. Przez pięć lat ubiegłych nagrodzonymi były cztery szwaczki: Privat, Cussin, Amelia Goelot, Lidya Terminaux, Eugenia Delaporte, a ta ostatnia podzieliła nagrodę z siostrą swoją, Joanną Delaporte. Są to dwie bliźniaczki, mieszkające i pracujące razem. Za lat kilka zapisana summa powiększy się o połowę, ponieważ ofiarodawczyni zapisała dożywotnie 5.000 renty dwóm swoim krewnym już sędziwym, po których śmierci summa ta przyłączy się do legatu nagród cnoty.

Konferencya berlińska uchwaliła, że byłoby pożądanem odnośnie do kobiet: — Nie dopuszczenie do pracy fabrycznej dziewcząt w krajach południowych przed skończeniem lat 10, w północnych przed skończeniem lat 12, co rozciąga się i do młodzieży męskiej. Przed skończeniem lat 16 należałoby wzbronąć dziewczętom pracę nocną i niedzielną. Po upływie tego wieku dziewczęta i kobiety nie powinny być zajęte dłużej nad 11 godzin dziennie, w którym to przeciągu czasu powinny mieć półtorej godziny odpoczynku. W niektórych gałęziach pracy fabrycznej należałoby wprowadzić inne jeszcze ograniczenia, biorąc pod uwagę siły i zdrowie pracujących. I tak: do pracy wewnątrz kopalni należałoby nie dopuszczać tak dziewcząt jak chłopców przed skończeniem lat czternastu, jakkolwiek dorastają one wcześniej od chłopców. Powtarza się to samo w kwestyi czasu pracy dziewcząt. Przed ukończeniem lat czternastu praca ich nie powinna być (tak jak i chłopców) dłuższą nad godzin 6 dziennie, włączając w ten przeciąg czasu odpoczynek półtorejgodzinny. Robotnice między 14 a 16 rokiem pracy powinny być zatrudnione najwyżej godzin dziesięć, zawsze z takim jak wyżej odpoczynkiem. Konferencya dodała tu jeszcze, że ograniczenia co do długości i rodzaju pracy pożądaną są zupełnie tak samo dla dziewcząt, jak dla chłopców między 16 a 18 rokiem życia. Nie powinno być dozwolone zajmowanie mężatek pracą w fabrykach wcześniej, jak w cztery tygodnie po urodzeniu się dziecka. Dodać trzeba, że ta uchwała, podobnie jak i uchwała, aby nocna i niedzielną praca kobiet była zupełnie zabronioną, a żadna nieprzechodziła nigdy jedynastu godzin, włączając w to południowy odpoczynek półtora godzin trwający, zostały przyjęte jednomyślnie i bez dyskusyi. Konferencya żądała dla tych wszystkich ustaw kontroli państwowej, z powodu, że wchodzi one w zakres moralności i sprawiedliwości publicznej.

Staraniem galicyjskiego Towarzystwa *Oszczędności Kobiet* urządzone we Lwowie d. 28 Marca bazar na rzecz głodem dotkniętych włościan przyniósł 5.000 zlr. Fanty, składające się wyłącznie z robót kobiecych, nadesłano ze stron różnych, nawet dalekich, bo z Francji, z Włoch, ze Wschodu. Bardzo wdzięczny był dar Orzeszkowej: album kwiatów nadniemeńskich.

Zmarła w okolicach Lwowa, w Krasiczynie, zacna, dla cnot swoich wielkiej czci używająca pani: księżna Jadwiga Sapieżyna, małżonka księcia Leona Sapiehy (linia Sapiehów kodeńska) z domu Zamoyska, córka Stanisława Zamoyskiego ordynata, prezesa senatu Królestwa Polskiego i Zofii z książąt Czartoryskich. Urodzona 1806 r., wyszła za mąż w 1825 r.: a poważnie i szlachetnie wiedziona żywot, przechowanie wszystkich tradycyjnych cnot i przymiotów kobiet naszych, zyskała jej wielkiszacunek i wielką miłość ludzką. Życie to nie uległo żadnej zmianie od początku do końca. W 1886 r., reprezentacya miasta Lwowa uchwałą swoją nakazała wybite na jej cześć medalu — na cześć jej wielkiego miłosierdzia, wielkiej miłości ludzi i uczuć pocziwych, nie słabnących z laty. Pogrzeb jej zgromadził w Krasiczynie liczne tłumy ludu i deputacje wszystkich zgromadzeń i instytucyi dobroczynnych, do których należała. Trumnę nieśli do grobu włościanie i oficyaliści jej rozległych majątków, których wielkie dochody szły w znacznej części na cele ogólnego dobra. Trumnę pokrywały wieńce; przed złożeniem jej do grobu przemawiał marszałek Tarnowski.

Z bieżącej chwili.

Stała wystawa wzorów, jako środek pomocniczy dla szkół rękodzielniczych, ma być urządzoną w Moskwie w Muzeum Politechnicznem. Towarzystwo popierania przemysłu rękodzielniczego projekt ten podniosło.

Dzienniki petersburskie donoszą o utworzeniu przy ministeryum oświecenia specjalnej kommisji z celem przejrzenia wszystkich książek, przeznaczonych do czytania w szkołach niższych.

Pamiętniki Sadyka Baszy czyli Michała Czajkowskiego, zostały nadesłane redakcyi petersburskiego „Kraju“ przez syna autora z propozycją nabycia ich na własność. Jest to gruby foliał i „Kraj“ zwraca się do zamożnych osób, lub instytucyi, aby rękopism nabyły.

Nowy obraz: Milda, litewska bogini miłości, wyszedł zpod pędzla utalentowanego malarza, Alchimowicza. Milda, wedle mitologii litewskiej, bogini miłości — bogini strzegąca świętej iskry życia w naturze, budziła co wiosna ziemię i przyrodę całą ze snu zimowego i w tej porze składano jej dziękczynne ofiary na górze Alexoty w pobliżu Kowna, gdzie przebywała wśród leśnej ustroni. U stóp płynie Niemen; rybak, którego chata stała nad brzegiem rzeki, podpłynął raz pod górę świętą z objatą swoją, zaszedł w gęstwinę tajemniczą, ujrzał boginię pod dębem świętym i oczy ich zbiegły się, serca uderzyły. Lecz Perkun, bóg najwyższy, bóg piorunów, cisnął w nich gromem, zabił rybaka i tę-to chwilę wybrał artysta dla obrazu swego. Przedstawia on las ciemny, nad nim niebo tylko co rozdarte przez ognistego węża błyskawicy; bogini stoi przerażona, obok strzaskane przez grom drzewo a u nóg jej zabity młodzieniec, na którego licach został zachowany wyraz, jaki miał w momencie nagłego zgonu — wyraz szczęścia i słodkiego zachwyty miłości. Piękny — jak pisać ci, co go oglądali — poetyczny ten utwór, nie będzie widzianym w Warszawie. Twórca wysłał go wprost do Monachium.

Posąg Królikowskiego, dłuta rzeźbiarza Syrewicza, został wystawiony w sali *Towarzystwa Sztuk Pięknych*. Jest on z białego marmuru, głowa uderzająco podobna, draperya płaszcza spływa faldzisto, aż do stóp spokojnej, poważnej postaci. Ze względu, że marmur nie wytrzymuje w klimacie naszym bezpośredniego zetknięcia z powietrzem, artysta pragnie, aby posąg stanął na odpowiednim piedestale w gmachu teatralnym.

W Wiedniu grono artystów malarzy i rzeźbiarzy urządza popularne odczyty o sztuce.

W sprawie pomnika Mickiewicza pisze Kazimierz Bartoszewicz list otwarty do hr. Przeździeckiego. Kapituła katedralna zezwoliła na złożenie zwłok poety w krypcie na Wawelu i architektowi Odrzywolskiemu powierzono wybranie i odrestaurowanie odpowiedniego miejsca w krypcie, tudzież wykonanie sarkofagu. Wyznaczony komitet zajmie się sprowadzeniem zwłok poety.

Na zjeździe pedagogicznym w Krakowie uchwalono staranie się o reformę wykształcenia klasycznego w szkołach średnich, o podniesienie społecznego stanowiska nauczycieli, o przestrzeganie czystości języka.

Jednodniówka „Dla głodnych“ wyszła w Krakowie d. 15 b. m. Ozdabiają ją ilustracye pierwszorzędných artystów.

Potomek poety, Rudolf Goethe, napisał „Historię literatury niemieckiej od śmierci Goethego aż do naszych czasów“.

Towarzystwo wstrzemięzliwości zawiązało się w Poznaniu pod nazwą: *Jutrzenka*. Cel Towarzystwa jednocy z wykorzenieniem pijaństwa i usunięciem karciarstwa, wogóle gier hazardowych. Towarzystwo posiada tylko 1.000 marek majątku i jest to fundusz żelazny, od którego pobiera ono odsetki, więc ubogie jest i czynność jego musi być przez to ograniczona, pragnie przecież założyć w Poznaniu tanią kawiarnię i przez odpowiednie wydawnictwa, oraz zebrania szerzyć działanie Towarzystwa na całą prowincję. Członkami mogą być tak mężczyźni, jak kobiety. Składka miesięczna członków jest 10 fenigów. Kto złoży na cele Towarzystwa 20 marek zostaje członkiem jego, bez żadnych przecieć dalszych obowiązków. Honorowymi członkami zostają tylko ci, którzy położyli wyższe jakieś zasługi dla sprawy Towarzystwa, lub wogóle wstrzemięzliwości. Każdy zwyczajny członek zobowiązuje się do miernego tylko używania wódki, piwa, lub wina, jeżeli nie chce wyrzec się ich zupełnie. Obowiązkiem jego jeszcze jest działać w kierunku wstrzemięzliwości na otoczenie swoje, zwłaszcza na młodzież. Staraniem takim ze strony Towarzystwa obok żywego słowa, jest szerzenie tanich książek i broszur, wykazujących zgubne skutki pijaństwa, usiłowanie, aby Niedziela i Święto były obchodzone uczciwie, niesienie pomocy w celu zakładania tanich kuchni i kawiarni ludowych, co wstrzymuje od uczęszczania do szynków. Na czele Towarzystwa stoi Józef Chociszewski, mieszkający w Poznaniu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty i 7-my powieści pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Pogawędka. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Z ziemi świętej (dalszy ciąg). — Nowiny Paryżkie. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty i 7-y powieści, pod tytułem: *Szych*, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Paski ze skóry.

Rycina Nr 16—18 w Bl. Nr 15.

Paski ze skóry brązowego i czarnego koloru ozdobione metalowymi podwójnymi klamkami. Pasek „Medicis“ ze skóry koloru brązowego ozdobiony takimiż guzikami. Spięcie w tylnej części na dwie małe klamry ze skóry tegoż koloru.

Lambrekin do okien, kominków, portyer itp. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 22 i 25—28 w Bl. Nr 15. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 25).

Lambrekin wykonany szydełkiem niemi błyszczącymi koloru jasno i ciemno-miedzianego, jasno i ciemno-piaskowego, oliwkowego i popielatego, oraz podwójną złotą nitką; zaopatrzony podszewką atlasową koloru „viel-or“ i przy-mocowany do pasa pluszowego koloru „bordeaux.“ Fig. 25 przedstawia krój. Całość złożona z mniejszych i większych gwiazdek, oraz z figur płaskich i okrągłych, łączonych z sobą jak wskazuje ryc. Nr 22. Wielkie gwiazdy, ryc. Nr 26 wykonąć jak następuje: Okręcić podwójną złotą nitką 8 razy na waleczku 8 cent. objętości. Ściągnąć kółko z waleczka i wykonać 1 kolej: 36 ścisłych oczek w kółko, połączyć oczkiem łańcuszkowym. — 2 kolej: niemi ciemno-miedzianego koloru, * 3 ścis. łań. ocz. w następ. 3 ocz., 1 pow. ocz. w tylną żyłkę tegoż 1 oczka zebrać i znajdujące się na szydełku razem przerob., 18 podwójnych łańc. ocz., na co należy 18 razy naprzemian zebrać ocz. z prostopadłej żyłki ostatnio zebranego o. i obydwie znajdujące się na szydełku razem przerobić, następnie powracając na poprzed. ocz., 1 ścis. łań. ocz. w tylną żyłkę następ. ocz. (a mianowicie z boku, z którego przedstawiają się żyłki oczek łańcusz.), + 1 słup. okręcany pikotowy (czyli 4 pow. o., nitkę okręcić 12 razy na szydełku luźno, 1 ocz. z 1 z 4 pow. ocz. ze-

brać i pozostałe na szydełku przerob. 1 ocz. i 1 ścis. łań. ocz. w to samo ocz., z którego było ocz. zebrane, te 4 pow. ocz. pozostają po odwr. str. roboty) 1 ocz. opuścić, 2 ścis. łań. ocz. w następ. 2 ocz., od + 5 razy powtórzyć, poczem 1 ocz. poprzedniej kolei opuścić, od * jeszcze 8 razy powtórzyć, przy każdym zaś powtórzeniu ostatnie podwójn. łań. ocz. znajdujące się przed okręcany 4 słup. pik. przyczepiać do poprzedniego wzoru i oprócz tego łań. ocz. ostatniego wzoru tym samym sposobem połączyć z ostat. podw. łań. ocz. 1 wzoru. Po wykonaniu 1 ścis. łań. ocz. w 1 ocz. tejże kolei, nitkę umocować i obciąć. — 3 kolej: 1 ścis. łań. ocz. w łań. ocz. znajdujące się przed następ. sł. pik., potem ciągle naprzemian: 7 pow. ocz., 1 ścis. łań. ocz. w ścis. ocz. znajdujące się przed następ. słup. pik., na czem kończy się gwiazdka. Płaską fig. ryc. Nr 28 wykonać jak następuje podwójną złotą nitką. 1 kolej: Na pentelkę długą 5 cent. wykonać założenie 10 cent. długie i 1 łań. ocz. w 1 ocz., poczem 4 pentelki na założeniu 12,

14, 12 i 10 cent. długości, potem 1 ścis. ocz. w wgłębienie pomiędzy ostatnią i przedostatnią pentelką, 1 słup., którego górnej żyłki jeszcze nie przerabiać w wgłębienie pomiędzy następnymi 2 pentelkami; 1 ocz. zebrać w ścis. łań. ocz. środkowej pentelki, na koniec w te same 2 pow. o., potem 1 sł. którego górną żyłkę przerobić razem z ocz. znajdując. się na szydełku w wgłębienie pomiędzy następ. 2 pentelkami i 1 ścis. ocz. w wgłębienie pomiędzy 2 następ. pentelkami. — 2 kolej: 27 ścis. ocz. w 1 pentelkę, 31 ścis. ocz. w następną, 39 ścis. oczek w następną, 31 ścis. ocz. w następ. i 27 ścis. ocz. w ostatnią, oraz 1 ścis. łańc. ocz. w następne ścis. ocz. — 3 kolej: niemi koloru oliwkowego, 2 ścis. ocz. w ocz. razem przerobione i w następ. ścis. ocz. 1 kolej 24 ścis. ocz. w następne 24 o. 1-ej pentelki, 25 ścis. ocz. w środkowe 25 ścis. ocz. następ. pentel., poczem 33 ścis. ocz. w środkowe 33 ścis. ocz. następ. pentel., 25 ścis. ocz. w środkowe 25 następ. pentel., 3 ścis. ocz. następ. pentel. opuścić, 24 ścis. ocz. w następ. 24



Nr 1. Płaszcz dla pani od 7—9 lat.

Nr 2. Kaftanik dla młodej osoby.

Nr 3. Pelerynka „Kopciuszek.“

Nr 4. Suknia wizytowa.

Nr 5. Kaftanik wcinany z czarnej jedwabnej bengaliny.

ocis. ocz. — 4 kolej: 2 ścis. łań. ocz. w następ. 2 sz., 3 razy naprzemian 1 pikot czyli 4 pow. o. z 1 z tychże 1 ocz. zebrać. Na zakończenie w 1 pow. ocz. oba ocz. razem przerob., 1 ścis. łań. o. w 4 z rzędu ocz., poczem 3 razy na przemian 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 3 z rzędu ocz., 6 ocz. opuścić, 1 ścis. łań. o. w następ. ocz., 6 razy naprzemian 1 pik., 1 ścis. łań. o. w 3 z rzędu ocz.; 6 o. opuścić, 1 ścis. łań. ocz. w następ. ocz., 5 razy naprzemian: 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 4 z rzędu o., potem 2 razy naprzemian: 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 3 z rzędu ocz., 6 ocz. opuścić, i 1 ścis. łań. ocz. w następ. ocz., 6 razy naprzemian: 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 3 z rzędu ocz.; 6 ocz. opuścić, 1 ścis. łań. ocz. w następ. ocz., 3 razy naprzemian: 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 3 z rzędu ocz., poczem 3 razy naprzemian: 1 pik., 1 ścis. łań. ocz. w 4 z rzędu ocz., 1 ścis. łań. ocz. w następ. ocz. — Małe gwiazdki wykonać jak następuje: 1 kolej: jak 1 kolej wielkiej gwiazdy, ale zamiast 36 ścis. ocz. tylko 27 w kółko. — 2 kolej: niemi błyszczącymi popielatami, 9 razy naprzemian: 2 ścis. łań. ocz. w następ. 2 ocz., 1 słup. okręć. pikotowy, 1 ocz. opuścić, nakoniec 1 ścis. łań. ocz. w 1 ocz. tejże kolei. — Figury okrągłe, które umieszczają się po 3 razem, wykonać jak następuje: niemi popielatami i jasno i ciemno-miedzianami. Okręcić nitkę 6 razy na wałeczku 8 cent. średnicy, zdiąć okręcanie i otoczyć 25 ścis. oczkami, poczem 1 ścis. łań. ocz. w 1 ścis. ocz. — Grelot ryc. Nr 25 wykonać niemi koloru piaskowego 5 pow. ocz., które złączyć w kółko 1 ścis. łań. ocz., 3 pow. ocz., 6 razy naprzemian: 1 sł. pik. (na który okręcić nitkę na szydeł. 7 razy) w kółko 1 pow. ocz., nakoniec 1 ścis. łań. ocz. w 3 poprzednich 3 pow. ocz. Na jeden kwast potrzeba wykonać 9 figur grełotowych i łączyć takowe podług ryciny. Dolna część ostatniego wypełnić na watą i powleczone na pluszem koloru brązowego. Następnie łączyć fig. podług ryc. Nr 22 i wykonać brzeg zewnętrzny podług ryc. Nr 27, z uwzględnieniem konturów kroju niemi błyszczącymi koloru piaskowego. — 1 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każde ocz. z lewej strony, w rogach należy wykonywać po 3 ścis. ocz. w 1 ocz. a w wgłębieniach 3 oczka razem przerabiać. — 2 kolej: z prawej strony roboty jak kolej 1-sza, ale w tylne żyłki. — 3 kolej: również z prawej strony, ciągle naprzemian: 3 ścis. łań. ocz. w następ. 3 ocz., 1 pik. sł., 1 ocz., nakoniec 1 ścis. łań. ocz. w następ. ocz.

Woreczek „pompadour“.

Rycina Nr 23 i 29 w Bl. Nr 15.

Skrajać z materiału jedwabnego adamaszkowego koloru różowego część 41 cent. szer. a 48 cent. wysoką. Jeden brzeg poprzeczny skrajać ukośnie jak wskazuje ryc. i miejsce to zastąpić aksamitem koloru pawiego lub atlasem tegoż koloru, który ozdobić haftem jak wskazuje ryc. Nr 29. Kwiatki i pączki wykonać filo-



Nr 6 i 7. Suknia dla panienki od 6—7 lat.

zela rozpolowioną koloru różowego w kilku cieniach ścięciem płaskim. Liście i gałązki złotą nitką ścięciem gałązkowym. Kwiatki przejmować ścięciem długim cienką srebrną i złotą nitką. Wykończyć woreczek koronką złotą podług ryciny i zaopatrzyć podszewką z atlasu lub aksamitu koloru pawiego.



Rycina Nr 1.

Saszetka z materiału adamaszkowego jedwabnego.

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 15.

Skrajać część adamaszku koloru żółtego 52 cent. długą a 32 cent. szeroką, zaopatrzyć watą przesyconą zapachem irysu, oraz podszewką z atlasu koloru błado-niebieskiego. Haft wykonać rozpolowioną filozelą kolorami: wodnemi, niebieskawemi, ponsowym, brązowym i oliwkowym w kilku cieniach, oraz nitką złotą ścięciem płaskim przetykanym złotą japońską nitką. Po wykończeniu ozdobić koronką tiulową haftowaną 8 centim. szer. oraz kokardami ze wstążki niebieskiej atlasowej wodnego odcienia 3 cent. szer.

Plaszczyk dla panienki od 7—9 lat.

Plaszczyk z sukienki koloru niebieskiego w odcieniu „lapis“. Przód ułożony w fałdy skrzyżowany na piersiach i spięty na kłapkę z prawego boku. Napierśnik z sukna niebieskiego tkanego srebrem. Kołnierzyk podwójny. Rękawy zwyczajne zmarszczone w fałdki w dolnym brzegu z kłapką spiętą na guziczki. Kapelusz biały słomiany ozdobiony wstążką koloru „lapis“ i bukiem z kwiatów różowych.

Kaftanik dla młodej osoby.

Rycina Nr 2.

Kaftanik z sukna koloru ceglatego, ozdobiony haftem wykonanym jedwabiem tegoż koloru i złotą nitką. Rękawy bufiaste zwężone w dolnej części haftowane odpowiednio. Kapelusz słomiany koloru ceglatego, przybrany tegoż koloru repsową wstążką i drobnymi kwiatkami srebrnymi, rękawiczki duńskie.

Pelerynka „Kopciuszek“.

Rycina Nr 3.

Pelerynka z materiału czarnego jedwabnego groszkowanego, haftowana dżetem i przyozdobiona dwoma koronkowymi falbanami. Górna falbana przyszyta do karczka haftowanego dżetem. Wycięcie szyi zakończone riaszą układaną w ściśle kontrafałdy z czarnej koronki. Suknia z bengaliny koloru zielono-popielatego, kapelusz z gazy tegoż koloru przybrany polnemi różami.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 4.

Suknia z materiału jedwabnego koloru popielatego ozdobiona haftem wyko-



Nr 8. Suknia dla panienki od 14—15 lat.

Nr 9. Suknia dla panienki od 15—16 lat.

Nr 10. Suknia spacerowa.

nany jedwabiem popielatym i różowym. Przednia część spódnicy z koronki koloru „crème”. Mantylka z rękawami dolmanowymi z bengaliny koloru czarnego ozdobiona dżetem, w przedniej części z rodzajem bluzki koronkowej z szerokim pasem dżetowym. Tylna część dolmanu jest krótka i wciąta do talii. Kapotka z krepy popielatej przybrana koronką koloru „crème” i żółtymi różami.

Kaftanik wcinany z czarnej jedwabnej bengaliny.

Rycina Nr 5.

Kaftanik krótki z tyłu, z przydłużonymi i spiczastymi końcami w przedniej części ozdobiony bogatą pasmanterią z pereł czarnych. Przód przybrany podług ryciny riaszą z czarnej koronki układanej wężykowato. Dolna część przybrana frendzlą dżetową. Napierśnik z bengaliny, zakończony w talii szerokim pasem z pasmanterią i perełkami czarnych. Wycięcie szyi z koronki marszczonej wzniesionej ku górze. Rękawy bufiaste, zakończone w dolnej części odpowiednią pasmanterią i czarną koronką. Kapelusz słomiany koloru naturalnego, przybrany wstążkami tegoż koloru. Parasolik koloru słomy, przybrany wstążką. Suknia z fularu w deseń.

Suknia dla panienki od 6—7 lat.

Rycina Nr 6 i 7.

Suknia wykonana z materiału jedwabnego „broché” koloru „électrique” w dwóch cieniach i tegoż koloru „surah”. Część lewa wykonana z „surah”, część prawa z materiału „broché”. Riasza z materiału jedwabnego wykończy część prawą i dolną część karczka podług ryciny. Kokardka z końcami ze wstążki koloru „électrique”. Rękawy z materiału „broché”. Kokardka z wąskiej wstążeczki na prawym ramieniu wykończy przybranie.

Suknia dla panienki od 14—15 lat.

Rycina Nr 8.

Suknia z materiału wełnianego koloru niebieskiego „porcelaine” ozdobiona haftem wykonanym tegoż koloru jedwabiem lub jedwabiem koloru czarnego. Stanik z bawetem, bez zaszewek, zapinany z boku pod paszką. Kapelusz ze słomy koloru „porcelaine” ozdobiony tegoż koloru wstążką w dwóch cieniach i odpowiednim ptakiem.

Suknia dla panienki od 15—16 lat.

Rycina Nr 9.

Suknia z materiału wełnianego koloru fioletowego, przybrana w przedniej części haftem wykonanym na materiale wełnianym koloru crème jedwabiem fioletowym i nitką srebrną. Stanik bez zaszewek zapinany pod pachą i ozdobiony podług ryc. odpowiednim haftem. Pasek z spadającymi z boku końcami „faille”



Nr 11 i 12. Okrycie dla panienki od 5—6 lat.

koloru sukni. Kapelusz z fantazyjnej słomy, podszyty aksamitem fioletowym i ozdobiony piórami koloru lila i różnokolorowym ptakiem.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 10.

Suknia z woalu koloru „mousse” ozdobiona podług ryciny haftem, wykonanym jedwabiem czar-

nym lub zielonym „mousse” na materiale jedwabnym tegoż koloru. Stanik podług ryciny przybrany galonem haftowanym i napierśnikiem z woalu koloru „mousse”. Rękawy odpowiednio przybrane. Kapelusz z bengaliny tegoż koloru ozdobiony takąż wstążką i złotą koronką.

Okrycie dla panienki od 5—6 lat.

Rycina Nr 11 i 12.

Okrycie z sukna koloru migdałowego ozdobione szlakami haftowanymi koloru ciemniejszego. Prawy przedni brzeg zakończony szlakiem haftowanym, tylna część ułożona w surdutowe fałdy. Pasek z atlasu koloru ciemno-migdałowego, związany na kokardę tylko na prawym boku. Pelerynka złożona z trzech kołnierzy, przyszyta bufiasto na ramieniu. Kołnierzyk stojący i klapki na rękawach ozdobione haftem.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 13.

Suknia z materiału jedwabnego „peau de soie” koloru zielonawo-popielatego, prawy bok ozdobiony haftem wykonanym jedwabiem w kilku cieniach tegoż koloru na materiale jedwabnym koloru „vieux rose”. Stanik bez zaszewek, zakończony z prawej przedniej części przedłużonym spiczastym zębem i ozdobiony haftem wykonanym jedwabiem zielono-popielatym w kilku cieniach. Rękawy bufiaste różowe. Kapelusz z ryżowej słomy podszyty „surah” koloru zielono-popielatego i przybrany gazą koloru różowego i bardzo ciemnymi ponsowemi mankietami. Rękawiczki jasne duńskie.

Suknia wizytowa.

Rycina Nr 14.

Suknia z fularu koloru kukurydżowego, przybrana haftem maszynowym wykonanym jedwabiem tegoż koloru i jedwabiem „bordeaux”. Stanik zapinany krzyżowo podług ryciny. Pasek i szarfy z aksamitu bordeaux. Rękawy bufiaste zwężone w części dolnej. Płecy z aksamitu bordeaux.

Suknia dla panienki od 10—12 lat.

Rycina Nr 15.

Suknia z fularu w krótką szkołę ponsową z różowym na tle jasnym. Tiunika z materiału wełnianego koloru piaskowego, ozdobiona haftem z ponsowego jedwabiu. Rękawki podług ryciny z materiału szkockiego z epoletami z wełny piaskowej. Pasek i szarfa zakończona frendzlą z materiału wełnianego piaskowego. Kapelusz ze słomy koloru naturalnego, przybrany „surah” koloru piaskowego i kwiatami ponsowymi. Pończochy koloru czarnego lub ponsowego.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 16 i 17.

Suknia z woalu koloru czerwonej gliny. Spódnica układana w fałdy, zakończona



Nr 13. Suknia wizytowa.

Nr 14. Suknia wizytowa.

Nr 15. Suknia dla panienki od 10—12



Nr 16 i 17. Suknia dla młodej osoby.

w dolnej części obrąbkami i trzema stębnowanymi paskami. Stanik w rodzaju fraka, z długimi połami z tyłu. Kołnierz i wyłogi wykonane z materiału jedwabnego „faille” koloru czerwonej gliny. Kamizelka z „surah” tegoż koloru, z pod której ukazuje się plisowana koszulka z krepy koloru crème. Sprzączka i guziki srebrne.

Suknia dla młodej osoby.

Rycina Nr 18.

Suknia z materiału welnianego koloru Eifel, przybrana szlakami tkanami na tymże materiale w aksamitną kratkę na tle szkockiej kraty. Stanik podług ryciny z kaftanikiem „Figaro”. Rękawy z materiału szkockiego przybrane epoletami z materiału Eifel.

Kapelusz włosiański.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 17.

Kapelusz czarny włosiański z dużym rondem odstającym nad czołem, przybrany koronkowym tiulem, zakończony z tyłu kokardą z czarnej aksamitki 5 cen. szer., bukiet z różowych róż, pączków i liści zdobi przód i boki kapelusza, pod rondem przypięta jest pojedyncza róża.

Kapelusz z haftowanej krepy i tiulu.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 17.

Kapotka z drutu i jedwabnego tiulu; ubrana czarnym tiulem i czarną krepą haftowaną czarnym jedwabiem, złotem i perłami otoczona gretkami z pereł. Wstążki aksamitne na $4\frac{1}{2}$ c. szerokości, ozdobne szpilki oraz bukiet z żółtego bzu i zielonych liści uzupełniają ubranie kapotki.

Kapelusz z aksamitu, złotego, pasmanteryi i tiulu.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 17.

Kapotka ze sztywnego tiulu obszyta drutem w około, z rondem ubranem tiulem oraz ukosa-

mi z aksamitu. Nad rondem przyszyte są złote pasmantery z wężającą się na bokach. Denko również z pasmanteryi, kokarda tiulowa z przodu kapelusza nad rondem, bukiet z aksamitnych prinuli oraz wstążki z aksamitki dopełniają przybrania.

Kapelusz z tiulu i fantazyjnej pleśni.

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 17.

Okrągły kapelusz z dużym odstającym rondem podszytym tiulem, i ubranym z wierzchu czarną fantazyjną pasmanterią. Kokarda z wstążki i tiulu, bukiet z bratków, fijołków, prinuli i liści zdobi wierzch kapelusza.

Woreczki haftowane na nocną bieliznę.

Rycina Nr 6 i 7 w Bl. Nr. 17. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 70).

Worek Nr 6, składa się z części białego płótna 90 cent. dług. a 44 cent. szer. obrębiony naokoło. Wyłożywszy materiał na 28 cent. aby utworzyć worek — zszywa się brzegi. Następnie przenieść deseń Nr 70 na pozostały materiał stanowiący wierzch worka i wykonać haft gałzkowym ścięciem, ponsową bawełną, środek figur ścięciem rybiej łuski białą bawełną oraz złotą nitką, narożniki zaś atłaskiem. Wierzch worka obszywa się koroneczką na 3 cent. szer.

Nr 7 składa się z odpasowanej części 44 cent. szer. 33 wysokości z białego batystu. Wierzch jest ozdobiony pięknym haftem maszynowym, pod który podkłada się tiul. Batyst wycina się pomiędzy figurami, które wyszyć należy atłaskiem oliwkowego i piaskowego koloru filozelą. Tiulowe tło przewleka się jedwabiem niebieskim i poziomkowym do cienia. Zewnętrzne brzegi obdzierać kolorowym jedwabiem. Wszystkie zaś



Nr 18. Suknia dla młodej osoby.

Przepisy gospodarskie.

Wódka cytrynowa.

Nowy sposób robienia wódki cytrynowej jest bardzo dobry. — Obetrzeć pół funta cukru porąbanego w kawałki o dwie duże świeże z grubą skórą cytryny. Ten cukier następnie utłuc jeżeli można w porcelanowym moździerzu i nalać kwartę wódki dobranej, to jest pół kwarty spirytusu 90 próby i pół kwartę wody przegotowanej, postawić to w cieniu na dni 6 — następnie przefiltrować przez szweczkę bibułę a będzie bardzo miłego smaku cytrynowa wódka. L. C.

Doświadczenie praktyczne.

Parasole nieprzemakalne.

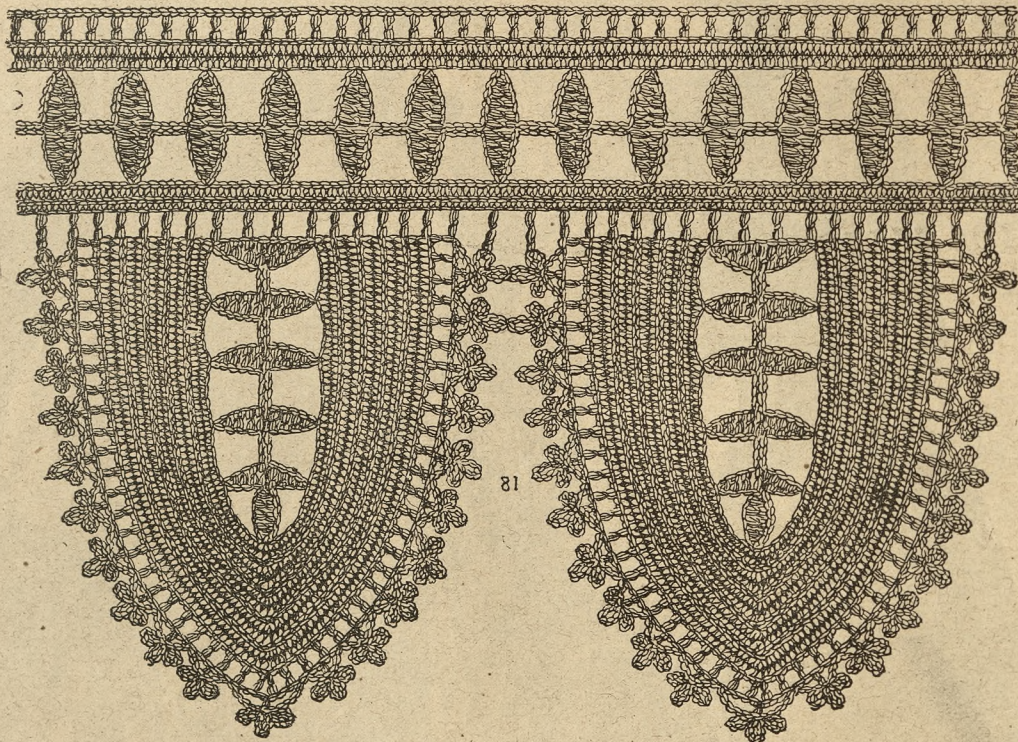
Rozpuścić jedną część parafiny czyli wosku kopalnego w 3 częściach benzyny, zmieszać dobrze i polewać tym płynem rozpięty parasol, od górnego szpi- ca ku dołowi.

Po tej manipulacji krople deszczu staczają się po powierzchni parasola, co nie dopuszcza przemoknięcia tegoż od spodu. Środek ten bynajmniej nie szkodzi materiałowi.

N. B.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół rumiany z pulpetami.
2. Sztukamięsa biała z biszamelem.
3. Makaron zapiekany w cieście kruchem.
4. Indyczka z sałatą.
5. Krem śmietankowy.



Nr 19. Koronka szydełkowa. (Opisanie w następnym numerze).

figury otoczyć złotą nitką przymocowaną żółtym jedwabiem.

Stół ogrodowy pokryty serwetką. Robota szydełkowa i krzyżowa.

Rycina Nr 26 (do ryc. Nr 27 i 29) w Bl. Nr 17.

Stolik 66 centim. wys. na nóżkach z trzciny zaopatrzony kilkoma blachami, z których górny ma 51 cent. średnicy, środkowe po 26 cent. a dolny 36 cent. Serwetki na tkaninie „Aida” ozdobione haftem, wykonane są ścięciem krzyżowym kolorową bawełną i otoczone rzędem zębów wykonanych bawełną koloru „crème” szydełkiem, brzeg górny przewleczony kolorową atłasową wstążką a dolny przybrany kwastami. Ryc. Nr 29 przedstawia deseń na haft, rycina zaś Nr 27 szlak w zęby wykonany szydełkiem.